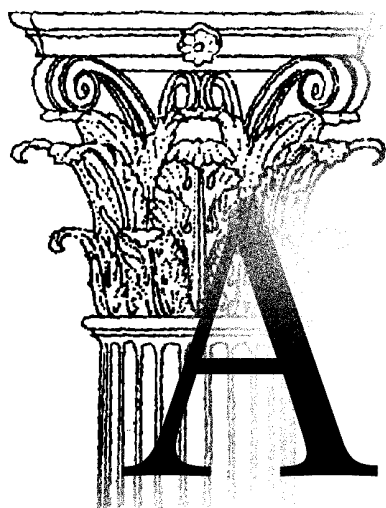
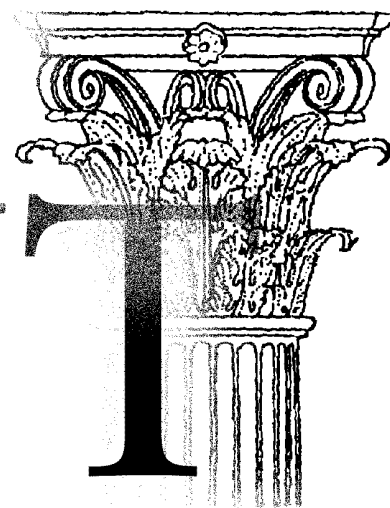




MIESIĘCZNIK LITERACKI



AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 6 (370) Rok XXIX CZERWIEC 2026 cena 10 zł (w tym 8% VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Paweł Żelazny Wenecja Bydgoska linoryt

Dariusz Filinger

MGŁA

Na początku nie działo się nic – wiatr jeszcze śpi
czas przesuwiał się klatka po klatce jak na filmie w niemym kinie
jakby ktoś na rozpiętym do granic czujności płótnie
chlapanął białą farbą aż ugięło się pod jej ciężarem

Jak tu sennie i pięknie... tarcza słoneczna zabłądziła na niebie
linii oczeretów nie było widać tylko zapach tataraku i rumianku
plusk ryb narobił hałasu – kręgi na wodzie fale akustyczne
im wolno profanować moją ciszę w Krainie Wielkich Jezior

Orzeł bielik podniósł się z krzykiem i kołował nerwowo
bo przecież naruszyłem jego spokój samą niegodną obecnością
gdzieś tam doszło do mnie skrzypienie wiosel starej łodzi
czy znajde gdzieś odludzie gdzie będę wreszcie sam?!

Tuż przy mojej głowie bzyczenie dostojne: na łowy larw
udaje się formacja bojowa złożona z helikopterów ważek
ja też przecież śniadania jeszcze nie jadłem...
na mnie czeka wiejski ser i ciasto rośnie na chleb

Rafał Gawron

Ja Byt

wyszedłem z mgły
stojąc na skale krawędź
łapie mnie za palce do lustra mam pięć
nieprzespanych nocy czekam dwa kolejne
dni dojrzewam do odwagi skacze i lecę kolejny
dzień przecinam lustro wody przecinam swoje odbicie
przecinam swoje dłonie
pod wodą budzę się dnia siódmego jeszcze
sześć tygodni bez powietrza nie sięga mnie
wiatr nie sięga mnie słońce nie sięga mnie
wzrok targa mną siła moje trzewia płynę
w gęstwinie z pszczołami luzem

Ewa Kłobuch

***[wszystko obrasta mchem...]

wszystko obrasta mchem
nie tylko od północy
pozostałe strony nie pozostają dłużne
i robi się cicho
jakby zabrakło stukotu butów w sieni
ognika papierosa

a więc głucho
i bez szans na obranie kierunku
innego niż wczoraj
skoro mech tłumi krzyk
i nie może się wyboleć do końca

to okno z wiosną za szybą
i sala jedna z wielu
jedna jedyna
bez mchu
z wyrytą w pamięci spękaną korą
umierającego drzewa
którego liście nie szeleszczą lecz rżęzą
duszą się dławią
pędem mijającego je powietrza



Paweł Żelazny linoryt

Jolanta Baziak

Deszczu

dotknij głęboko pokładów
ziemi istoty czaszek
umiłowania tamtych

kim jest deszcz
istotą żywą
teraz kwitną oni na biało
może na czerwono
może na niebiesko

niebiańsko

bądź niebiański
teraz i żywy
właśnie ty

Laura Alszer

Między nami

kałuża rośnie
do rozmiaru stawu
by zostać rozkołysanym morzem

do którego po księżycu
zjeżdżają gwiazdy

Kamil K. Pilichiewicz

rozpęka

nagie drzewo
bieli się – rozpęka

mniszek częstuje
zaspaną pszczołę

w nagrzaney płycie
materia trze o materię

Marek Bocian

chwilowa równowaga

naprzeciw tarczy słońca
w biały dzień
z blachy sierp księżycy
waży się

śmierć cała w bieli
i miłość biała
Budda biały do szpiku uważności
nadeptnięty wąż w
białym jak litość lesie gdzie
biała królowa pszczoł z
poręcznym mężem białym
biały gniew do kości zeszkrobany
czarny bez biały świtu posłaniec

i tylko blaskiem broczy
szkarłat
z piersi słońca

Wszystkie kolory koralu

Nasz stary telewizor Koral, klasyk czarno-biały, z końca lat sześćdziesiątych, ze sferycznym ekranem kineskopu i płaską szybą z przodu jak małe okno na strychu. Jego obsługa i sterowanie, to był na tarczy wy kunszt ojca, jego strategii i diagnozy, która lampa się przepala lub przebija kondensator i obraz z góry na dół płynie, ruchem szerokich płaskich fal lub w ogóle czernieje i zanika.

„Kacza zupa” braci Marx wtedy nabierała takiego smaku, w hipnotycznym bujaniu przez absurd, gag i koncert harfowy, a colty Clint Eastwooda, w spaghetti westernach Sergio Leone, bo „Dobry, zły i brzydki” mierzyli się i konsoli dowali jednym strzałem, naddźwięcznym gwizdem kuli, w osmalone iberyjskim słońcem gęby. Winnetou, dobry Apache w górach Jugosławii, wciąż wołający do białego przyjaciela Old Shatterhanda po niemiecku. Charlie Chaplin, Buster Keaton i pierwsze skecze Monty Pythona, Muppet Show do wydźwięku łomotu Zwierzaka, w przymkniętych oczach bębnowego oblędu.

Jeszcze był potem ten czas samotny, żeby coś przeszyć, przeczuć, przeżyć. Wyjść w nocy na balkon i sięgać przez gwiazdy wczesnych czereśni z drzewa sąsiada, gdzie szpaki nocą nieobecne, a wokół świerszcze trzeszczą oszalałe, prawie do rana, niedawno uciekłe z ludzkich zimowisk od szerokich do nic woskowych fikusów i difenbachii.

Ebonitowy, czarny telefon na szmacianym, prostym kablu, z wyszczerbioną dziurą, spod której wynurzał się w przeblaskach, mosiężny dzwonek – dryń dryń jestem horror, ja będę się skradał, ty musisz się bać, krzyczeć, popadać w opętanie, w zapachu krwi jeszcze stygnącej, płynącej jak zimny dotyk i serce stanie, ale tylko na chwilę i zaraz się ocknie.

Pan Wołodyjowski i Zorro taki szarmancki i swojski Kloss, przebiegły acz ludzki, w sojuszu niczym związku radzieckim. A po latach dziadek mi powiedział, że Andrzej Szypulski – współscenarzysta i pomysłodawca, to jego daleki kuzyn z Warszawy i dlatego tak łatwo zapamiętywałem całe sceny i frazy.

Krótkie szorstkie przekleństwa, powtarzane w kółko Kantora, gdzie „Umarła klasa”, a mama mieszczańsko oburzona, przez brzydotę postaci na wystawie Dudy-Gracza w BWA, nie pozwalała kupić ojcu w obrazie jego obrazu. Ostatnie grzybiarskie wypadki za miasto i ogniska w przymrozkach.

Tuż przed Stanem Wojennym pojawił się ruski Rubin i wszystko z różó wiało.

Marek S.Podborski,
lirkaakantu@gmail.com

Krzysztof Gołębiewski

Na próbę

Na tej łące
nazwanej jednym słowem
nikt nie pastwi się
nad zwierzęciem
ani kobietą
rozpiętą między ciałem
a pragnieniem

Tu nie ma kary
dowodów ani siły
tylko zawieszenie
bez usprawiedliwienia
nawet spojrzenie
nie rani

Zielona przychodzi
nie na własność
lecz na próbę —
by przejść dalej
poza nazwane —
zobaczyć to czego
nie potrafię wymyślić

Jeśli próba się powiedzie
nie będzie świadków
nie będzie też mnie

Kamil K. Pilichiewicz

wsiaaka

chodniki
krople – kroki

deszcz i prostopadły
do niego człowiek

pewność kierunku
wsiakania

Dariusz Malach

Z życia wzięte

jestem przypadkiem
z węgla i rosy
splątanych na
plus minus
kilkadziesiąt lat
skazanym na
banicję
z kraju
martwej chemii

jestem poniekąd
gliną i popiołem
wszystko już zapisałem
dawno
notarialnie
na dnie
rzeki podziemnej
która mnie obmyje
z kolorów i zapachów
dotyków i szeptów

z czasem rosa i węgiel
wrócą gdzie powinny

i właściwie to wszystko
oprócz fotografii

Bogdan Łoś

okien zaćmione słońca

spoglądałem w trzeszcze Babilonu
Babilon we mnie
oraz w zwierciadle

trzy razy ginę
w Niniwie otchłannej -
bronię się

Lewiatan wnet połyka
i wypływa w miasto chyba tylko
połowicznie bezkresne -

Stwórca pozbawiony posłuchu

tymczasem
sieć
r o z c i ą g n i ę t a -

latorośl i ryby niczym glonów
szum

rafy koralowej
jeszcze

Przemysław Kantorski

Ekstaza

Przelewam się
Przez pustkę - we
Mnie, tonę we krwi
Krwi winnej, winem
Czerwonym - zgiętej
W uwielbieniu drwin

Rafał Wierzbą

Zabawki

pokój zabaw, a w nim
zjeżdżalnia zielona
szczypie w uda,
basen z piłeczkami
chłonie jak skarbiec sknerusa,
tunele pachną
świeżo odzyskanym plastikiem,
układanki logiczne
ustawione w nielogicznym miejscu
za drzwiami,
stół do ping-ponga
z grającym na nim echem piłki,
arkusze i kredki pachnące woskiem

nieruszone.

huk!
postrzelony przechodzień,
bryzg pikselowej krwi
rozmazuje się na chodniku

to chłopiec gra obok w gta

uśmiecha się do mnie
gdy piszę to obok
różową kredką

Notes (29)

16 kwietnia

Kto to? Kto to?

Napisał, że nie mógł odpowiedzieć na korespondencję, bo musiał przygotować *expose* o polityce międzynarodowej i nowa wojna wybuchła.

Kto to? Kto to?

17 kwietnia

To chyba jednak grafomania... Każde wydarzenie, poruszenie umysłu lub serca przekładają się na wiersz. Taki zlepiony według powszechnych standardów. W wojsku mówiło się o „wzorze ogólnowojskowym”.

18 kwietnia

Wryło mi się w pamięć spotkanie autorskie Marka Szypulskiego, naszego kierownika działu poezji. Koncertowo prowadząca Wiesława Barbara Jendrzewska i wirtuozowsko odpowiadający na pytania tudzież czytający swoje wiersze autor. Słowiarsz. Bogata leksyka, subtelne wycucie słowa, ewidentny dar Boży w tym zakresie. Na dodatek czytanie, ośluhanie i naoglądanie (a jak nazywać jednym słowem znajomość najważniejszych filmów?), czyli głębokie zanurzenie w kulturze i tradycji. Przekonał się do poezji, kiedy mając osiemnaście lat, odkrył, że wiersz mu się udał. Piszcie tylko *wiersze konieczne*, czyli oparte o przeżycie liryczne. W ukochaniu słowa przypomina Stanisława Barańczaka, w conceptach i dowcipach – poetów barokowych. Szerokie spektrum twórczości, bo także proza poetycka i satyra.

19 kwietnia

Przyszedł do mnie gość, któremu boję się przedstawiać swoje poglądy na bieżącą politykę, bo zaraz je rozplotkuje, niby jako ciekawostki, ale w istocie jako szpilki, którymi zazdrośnicy będą mnie dźgali. On też do tych zazdrośników należy.

A polityka jest dziś obrzydliwie jałowa, samonapędzająca się, oderwana od potrzeb ludzi, którym ma służyć. Ale owi ludzie jakoś dają sobie radę w świecie prawnie i ekonomicznie ułożonym, uczą się tych układów i robią swoje, to znaczy izolują się od spraw wspólnych, którymi winna zajmować się owa obrzydliwa polityka.

20 kwietnia

Znowu jakaś osoba spluwa na mnie do spluwaczki internetowej. Mało kto pamięta, że stały w kacie korytarza urzędu czy poczekalni do lekarza takie metalowe naczynia z pokrywką mającą okragły otwór, do którego spluwało się ślinę albo smarki, choć nie zawsze się trafiało. Były więc często okolice spluwaczki oklejone.

Ta internetowa osoba ma nie tyle kłopoty ze mną, co ze sobą, ale choć staram się natychmiast kasować jej bluzgi, to jednak coś tam w świadomości zostaje. Tak działa reklama, którą lekceważymy, ale jednak coś po niej pozostaje.

21 kwietnia

Upomina się o coś, co nie ma żadnego znaczenia, o zgodność, nazwijmy to liczby orzechów – z zapisem na kwicie. Cieszę się, że nie jest urzędnikiem, bo bym znów miał kogoś, komu papiery muszą się zgadzać.

22 kwietnia

Showman literacki na scenie. W co drugim zdaniu, a czasem i dwa razy w jednym, powtarzał ciepłym głosem „szanowni” lub „drodzy państwo”. „Państwo” złożone ze snobek i wiecznych aspirantów było zachwycone, bo zostało przecież wyróżnione. Na to, co mówił, mało kto zwracał uwagę, bo i nie było na co.

23 kwietnia

Jakub Maciejewski pisze w „Gazecie Polskiej” z 1 kwietnia 2026 roku (s. 38-39), że to skandal, iż SB-kom przywraca się pełnię praw emerytalnych, odebranych mocą ustawy dezubekizacyjnej. Odwołuje się do etosu *Solidarności*, choć przyznaje, że „bezpieka przygotowywała transformację ustrojową i stała się bardziej wpływowa niż wcześniej, kontrolując rodzącą się koncesjonowaną opozycję spod znaku Lecha Wałęsy i Tadeusza Mazowieckiego”. Nie uwzględnia jednak faktu, że w owej „ubeckiej transformacji ustrojowej” palce maczała też amerykańska agencja wywiadowcza CIA, przygotowując, często w oparciu o tajnych współpracowników SB, których przewerbowano i przeszkolono, kadre nowych tajnych służb w nowym państwie. Pierwsze skrzypce grał wówczas w Polsce kontrwywiad wojskowy.

24 kwietnia

Już dwa razy (noty z 3 stycznia i 26 lutego 2026 roku) pisałem o upadku moralnym – w sensie oczywiście etyki dziennikarskiej – „Tygodnika Solidarność”, na którym w okresie „pierwszej” *Solidarności* kształtował się mój światopogląd społeczno-polityczny. Jest takie zjawisko na forum medialnym jak „tygodnik opinii”, czyli czasopismo, które co tydzień usiłuje zdyskontować intelektualnie i moralnie (sic!) mijający czas i wkroczyć z drogowskazami w czas, który nastąpi. „Tygodnik Solidarność” niestety do takich czasopism już od kilku lat nie należy. Jest strzelbą czy, jak kto woli, szabłą jednej grupy wojującej z drugą, a nie – jak nakazuje etyka dziennikarska – stoi pośrodku, czyli na uboczu walki o władzę i pieniądze, bo to nie jest walka o dobro narodu, państwa, czy sfer pracowniczych, którymi, z tradycji choćby, winien zajmować się NSZZ *Solidarność*. Nic też dziwnego, że te sfery „Ty-sola” nie czytają, mimo że jest on obowiązkowo, za pieniądze niższych szczebli, podobnie jak kościelne gazety parafianom, wciskane instancjom związkowym. Ja czytam wybrane artykuły, całkiem niezłe o kulturze i turystyce, a rzucam tylko okiem na te „strzelające”, choć bardzo cenię z ekipy wojowników inteligencję i pisanstwo Jakuba Pacana.

7 kwietnia 2026 roku kierownictwo redakcji nakazało chłopaczynie dziennikarskiemu Karolowi Gacowi wziąć udział w boju o Viktora Orbána, więc ów spolegliwy chłopaczyna Karol Gac spłodził felieton o zabójczym tytule *Wielki bój Orbána* („Tygodnik Solidarność” 2026, nr 14, s. 21).

Spolegliwy chłopaczyna Karol Gac, chcąc być wiernym jako „porządny dziennikarz” faktem, opisał trudną sytuację węgierskiego pre-

miera, lecz jeśli idzie o trudną sytuację narodu węgierskiego, to zaczął stosować eufemizmy typu: „nastroje społeczne się pogorszyły, a długotrwałe rządy zawsze niosą ryzyko zmęczenia elektoratu”. Korupcję i autorytaryzm spolegliwy publicysta zamknął zdaniem: „Tyle tylko, że jednocześnie nie powinniśmy tracić z oczu tego, co premier Węgier robi od dłuższego czasu”. Czego, Karolu Gacu? Rzetelność dziennikarska wymaga przytoczenia faktów.

Nie wiem, czy spolegliwy chłopaczyna Karol Gac sam napisał, czy mu to redaktor naczelny lub sekretarz redakcji do tekstu wcisnął: „Intuicja podpowiada mi, że wbrew sondażom i dominującej narracji w Polsce, Orbán władzę utrzyma, a może i wszystkich zaskoczy”.

Oj, panie Karolu, panie Karolu Gacu, publicysta powinien kierować się przede wszystkim rozsądkiem, a nie intuicją, chyba że jest babą.

Na co ci to było potrzebne, Grzegorz Dyndał? Na co „Tygodnikowi Solidarność” potrzebny był „wielki bój o Viktora Orbána”? Przecież nie pasuje on do szlachetnego profilu tego pisma sprzed lat, a głosów węgierskiemu politykowi, który „zaczynał dobrze, a źle skończył”, nie przysporzył, bo być może tylko jeden czy dwóch Węgrów z biura prasowego ambasady węgierskiej te wywody przeczytało.

A mój pogląd na *casus V. Orbána* jest taki: mało który polityk wzięty z ludu do polityki się nadaje. Mieliśmy u siebie przypadek Lecha Wałęsy. Do polityki trzeba dorosnąć i domądrzeć, a przede wszystkim mieć charakter spolegliwego sługi, a nie pana.

„Nie ma gorszego tyrana, niżli zrobić z chłopą pana” – głosi ludowe porzekadło.

25 kwietnia

Jubileuszowa wyprawa studyjna Bractwa Inflanckiego. Międzynarodowa organizacja rycerska, nawiązująca do tradycji I Rzeczypospolitej i Zakonu Inflanckiego. Przez 25 lat przewinęło się przez nią 107 braci.

Jedziemy do Estonii, gdzie na przyłdku Sõrve Säär czterech Polaków założyło Bractwo, nakreślając jego statuty i tworząc pierwszą strukturę. Po drodze jubileuszowej wyprawy, stosując ówczesną terminologię: Mazowsze, Prusy, Litwa, Żmudź, Liwonia.

Mazowsze. W Głinojecku ogromny, ogrodzony nowym murem cmentarz. Jedna piąta tylko zajęta.

– Nie ma komu umierać – żartuję.

– Nie ma komu tu żyć – mówi brat Lech Stefaniak, przywołując dzieciąca się na naszych oczach proces depopulacji Polski wschodniej.

– Łaski, piaski i karaski – przytaczam stare porzekadło, lapidarnie ujmujące kondycję i istotę północnego Mazowsza.

Bracia Inflanccy i goście skwapliwie korzystają z zamontowanego w autokarze systemu nagłaśniającego. Niektórzy chcą zaciekać, inni tylko wypowiedzieć się; widać, a raczej słysząc, że rok, a może nawet i więcej czekali na taką okazję. Niektórzy zasypiają, tym bardziej, że zmienia się ciśnienie atmosferyczne i nasłonecznienie, a wiosenne słońce przecież usypia.

Wieczorna Msza Święta w ogromnym neogotyckim kościele halowym pw. św. Trójcy z lat 1909-1922 w Myszynie. Ta wielka budowla zdaje się być objawem kompleksu prowincji, która chce swojej małości zaprzeczyć wielkością swych obiektów. Pustych, bo na nabożeństwie jeśli trzydziestu wiernych to

dużo. Miasto żyje zapowiedzianą na 4 czerwca, telewizyjną transmisją procesji Bożego Ciała. Ubiórą się na ludowo, po kurpiowsku. Procesja Bożego Ciała w Myszyniu wpisana została bowiem na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego, a kościół uzyskał tytuł Bazyliki Mniejszej, bo 15 maja 1978 roku modlił się w nim Karol Karol Wojtyła, jak głosi wielki napis na drzwiach kruchty.

Proboszcz rzeczywiście jest „starowny”, jak mówią w swojej gwarze Kurpie.

26 kwietnia

Statua Żmudzina w Rosieniach między postradzieckimi blokami. Relief na postumencie przedstawia zmagania litewsko-polskie w latach 1918-1920. Litewski żołnierz trzymając polskiego orła za szyję przymierza się do obcięcia mu głowy. Zupełnie jakby dekapitował gąsiora na obiad. Jedynie klasztor dominikanów na wzgórzu, omszały nieco, wnosi nieco stabilności do tego szaleństwa dziejów.

27 kwietnia

Na estońskiej stacji benzynowej wjechaliśmy ciasno, ale bezdotykowo, między dystrybutory a stojący samochód osobowy. Przyszedł estoński kierowca z żoną, popatrzył co się dzieje i zręcznie wypchali oni swój samochód, aby móc do niego wsiąść, choć gdyby kierowca nie był gruby, to dokonałby tego bez wypychanki.

Małgorzata Pluta, która właśnie prowadziła nasz autobus i ona dokonała owego ekwilibrystycznego wyczynu, uśmiechała się najmilej jak tylko umiała i przeproszała najgoręcej. Stary Estończyk kompletnie nie reagował – ani gniewem, ani poprzez przyjęcie przeprosin. Po prostu potraktował całą sytuację jako zadanie do rozwiązania, a nie jako powód do nawiązania jakiegokolwiek relacji. „Ot, estoński malczyk” – zakłębła Białorusinka czy Ukrainka po spotkaniu męczący bez temperamentu.

Estończycy żyją własnym życiem.

W miejscowości Salme poszukujemy, zgodnie z wirtualnymi informacjami, śladów niedawno odnalezionych pochówków wikingów. Ani śladu. Mieszkanka Salme poszukuje w *googlach*. Odnajduje jedynie bar *Viking Burger*. Inni mieszkańcy wioski też nic nie wiedzą. Po długich poszukiwaniach w internetowej chmurze dowiadujemy się, że odnalezione łodzie wraz ze szkieletami wojowników znajdują się w muzeum w Arensburgu.

28 kwietnia

Na przylądku Sõrve Säär wyspy Saaremaa (Ozylia), w miejscu powstania 25 lat temu Bractwa Inflanckiego, przypomnienie kodeksu rycerskiego z pokornym przyrzeczeniem, że *będziemy starać się go przestrzegać*, a nie, że ślubujemy czy coś podobnego. Raz, że pokora jest jedną z trzynastu wyróżnionych przez nas cnót rycerskich, dwa, że we współczesnym świecie – zatowarowanym i zindywidualizowanym, a więc rozmiennym na tysiące wariantów zachowań – unifikacja jest niemożliwa. Po naradzie rycerskiej „chrzest” w lodowatych wodach Bałtyku, między raniącymi nogi kamieniami. Pięciu braci uratowało honor całego Bractwa. Pozostali zachowali się bardzo indywidualistycznie, czyli znaleźli dla siebie i na zewnątrz jakieś usprawiedliwienie. Ja, jako Wielki Mistrz Bractwa, należałem do tej piątki, mimo że szalony wiatr zwał z nóg i po trzykrotnym zanurzaniu się trudno było

wyść na brzeg, także przez te kamienie, i się ubrać. Myślałem, że się rozchoruję, a tu nic. W nocy było trochę zimno, ale sen rozgrzał organizm do temperatury właściwej.

29 kwietnia

Szlakiem trzech latarni morskich na wyspie Dagö (Hiiumaa).

Dodatkowo dwie myzy, czyli inflanckie rezydencje ziemskie połączone z folwarkiem w swoistą formę samowystarczalnego gospodarstwa-osady. Kiedyś otoczone były murami bądź silnymi parkanami, bo chłopski lud estoński od czasu do czasu napadał na baronów, oczywiście obcego, niemieckiego pochodzenia. Tym myzy różni się od naszych staropolskich rezydencji magnackich i szlacheckich, że pałac zespala się z obiektami gospodarczymi, czyli pańskie oko konia tuczy na co dzień, a nie dorywczo, po wycieczce linią.

W konstelacji estońskich myz (est. *moise*) znajduje się jedna polska – w miejscowości Ruusmäe przy granicy z Łotwą. Obecnie jest tam pensjonat świadczący usługi turystyczne.

Wieczorem obiad w restauracji *Talumehe Kõrts* w Hapsalu. Goście wybierają dania z taką powagą i pieczołowitością, jakby wybierali swój dalszy los. Społeczeństwo konsumpcyjne.

30 kwietnia

Hapsal (est. Haapsalu). Odrestaurowany i częściowo użytkowany na cele muzealne zespół zamkowo-katedralny oraz dworzec kolejowy z najdłuższym, bo 210-metrowym drewnianym zadaszeniem peronów. To tu, w filmie radzieckim *Anna Karenina*, grająca tytułową postać Tatjana Samojłowa rzuca się pod pociąg, nie mogąc wytrzymać dysonansu między wysokim lotem miłości, a płaskim czołganiem się codziennego życia.

1 maja

W Szawlach zrobiłem test na usytuowanie stratyfikacyjne: czy do pęczniejącej za sprawą konsumeryzmu i technologizacji klasy ludowej, czy do szczupłej klasy kreatywnej. Wycieczkowiczów wracających z litewskiego *Lidla* zapytałem pierwszym wersem *Konrada Wallenroda*:

– Skąd Litwini wracają?

– Z nocnej wracają wycieczki – brzmi prawidłowa odpowiedź.

Udzieliły jej tylko trzy osoby z dwudziestoosobowej grupy, czyli 3%, co potwierdza inne badania socjologiczne.

2 maja

Już w Polsce. Bargłów Kościelny. Uderzenie wiosny. Ciepło, ciepło, za ciepło. Słońce i zieleń. Radość życia, która jest obowiązkiem człowieka.

Kulminacja uroczystości jubileuszowych Bractwa Inflanckiego. 20 minut na moje „przemówienie tronowe” – chyba nie najgorsze, bo brat Leszek Droszcz mówi, że jakby słyszał pastora luterańskiego, a trzeba wiedzieć, że kaznodzieje ewangelicy bardzo starannie i z pomysłem przygotowują kazania. Ja też nie zdałem się na Ducha Świętego, który miałby mi podpowiadać słowa, jak czynią to kaznodzieje nowoapostolscy, tylko zaraz po przebudzeniu obmyśliłem sobie przemowę, a tuż przed śniadaniem sporządziłem jej konspekt.

3 maja

Chłodne, rześkie poranki i ciepłe, poprzetykane pasemkami wiatru południa, a wieczory coraz dłuższe i takie, że nie chce się spać. Tak opowiadać będę – gdzie? kiedy? – moje wiosny.

4 maja

W ramach pracy naukowej weryfikuję różne teksty sporządzone przez *sztuczną inteligencję*, co zaczęło być w nauce dopuszczalne. Rzeczywiście, zapisy te, choć poprawne, są sztuczne, według jednego schematu myślowego i językowego. Współczesny człowiek, będący już w wielu zakresach dodatkiem do maszyn, będzie wkrótce dodatkiem do uniwersalnego algorytmu myślowego. Chyba tylko sprzątaczką, choć coraz bardziej mechanizuje się i chemizuje jej praca, nie skarże, bo karlenie nie następuje wtedy, kiedy musimy pokonywać przeszkody i samego siebie. Dobrze o tym wiedział Wiesław Myśliwski (1932-2026), który w proteście Don Kichota nie korzystał z komunikacji mailowej.

5 maja

Mimo woli przysłuchiwałem się toczoną w telewizji dyskusji na temat aktualnych rozgrywek żużlowych. Mimo woli, bo z powodu opadów deszczu mecz, z którego transmisję chciałem oglądać, nie doszedł do skutku i zastąpiono go studium. Czterech facetów, do których w trakcie dyskusji doszedł piąty i posadzono go na środku, bo był ważny, rozprawiało dość swobodnie i mądrze nawet. Wynikło z tego moje przekonanie, że żużel dlatego zachwyca i pociąga, bo jest niczym życie, czyli chaos, z którego zawsze coś wynika. Na chwilę, oczywiście. Tysiące różnych, ząbających się ze sobą lub nie, czynników; żadna mądra dyskusja nie jest w stanie ich ogarnąć i uporządkować, a jedynie je zasygnalizować.

Czytelników, którzy mój *Notes* traktują poważnie, czyli chcą się coś z niego dowiedzieć, informuję, że żużel, którego dziwaczna nazwa pochodzi od nieobecnej już na torach nawierzchni żużlowej, czyli odpadu pokoksowniczego, mającego charakter spieczonego popiołu, to sport o cechach cyrku, polegający na ściganiu się na owalnym torze w lewo, czterech opancerzonych kevlarami facetów, jadących cztery okrążenia motocyklami bez hamulców, bo co by to było, gdyby przy prędkości ponad 100 kilometrów na godzinę i przy wąskim torze nagle ktoś zahamował.

6 maja

Z nieklamany smutkiem musiałem podczas jednego z wieczorów autorskich słuchać wierszy o Bożym Ciele i wyścigach na Służewcu. Niezłe, acz puste, z wyjątkiem emfazy towarzyszącej każdemu tworzeniu, utwory. Smutno mi, bo według mnie poezja jest także inwencją pojęciowo-słowną. Wyrasta z autentycznego przeżycia lirycznego, a nie z chęci napisania wiersza (nota z 16 marca 2026 roku).

7 maja

Dobra proza, bo wciąga i organizuje wyobraźnię wokół „przypadków” bohatera o niebotycznym wręcz ego oraz pełna zgrabnie, ale wiarygodnie przytoczonych szczegółów. Chce się czytać, dowiedzieć się, co bohater-autor jadł na obiad oraz o której godzinie w nocy cierpiał na bezsenność. Ósmy tom dzienników, choć zapiski nie dzień po dniu, tylko co ciekawsze, Józefa Banaszaka pod ty-

dokończenie na str. 6

Notes

dokończenie ze str. 5

tulem *Czas kwiatami znaczony*. Autor usiłował więc więcej pisać o przyrodzie niż o sobie, ale i tak wyszło jak zawsze. Chwałę potwierdzając zdecydowane, ostre poglądy, z wieloma, nawet politycznymi, się zgadzam, ale razi trochę ich jednostronność i jakby podszycie zazdrością. Mimo że J. Banaszak lansuje nieprzytomnie, bo z miłością, także na fotografiach, swego syna Dominika, to i tak pisze tylko o sobie. *Bo to mój syn. Mój!* „Przypadki” Dominika na mój gust nazbyt snobistyczne, ale cóż, smartfonowo-internetowy *lans* wymaga wypinania się. To tak, jakby żyło się dla pierwszych stron gazet.

8 maja

Wydłużają się moje poranne przerwy, a raczej adaptacje do życia, kawowe. A potem zaraz herbata. Co to znaczy?

9 maja

Rozmawiam ze świetnym felietonistą („An-gora”) i skutecznym kreatorem społecznym (międzynarodowe konkursy pianistyczne im. Jana Paderewskiego) Henrykiem Martenką. Mówimy o dzisiejszym dziennikarstwie „zza biurka”. Może i ono jest warsztatowo i intelektualnie sprawne jak AI, ale pozbawione jest sensualistycznych wrażeń, tak jak dziennikarstwo „z ulicy”. A przecież człowiek jest istotą zmysłową, która musi się żywić nie tylko wyobrażeniami, ale też wrażeniami. Nawet jeśli one nie znajdują bezpośredniego odzwierciedlenia w tekście.

10 maja

Wciąż na różnych stanowiskach kierowniczych, głównie w instytucjach samorządowych i społeczno-kulturalnych, utrzymują się ludzie z elit PRL-owskich, oczywiście, że ci najmłodsi. Tak, bo nauczono ich kreacji niezależnej od politycznego lakieru, a także umiejętnego posługiwania się owym lakierem. Prawica nie

wykształciła takich kreatorów, tylko manipulatorów politycznych z głęboko ukrytym genem buntu, a nawet destrukcji. To znaczy „nowa prawica”, bo nie ci z kreatywnej opozycji solidarnościowej, którzy albo machnęli na wszystko ręką, albo odeszli z tego świata. Chociaż próby wypreparowania intelektualnych i artystycznych hunwejbiniów spod znaku prawicy były (noty z 9 marca i 11 czerwca 2024 roku), ale nieudane.

11 maja

Dziwimy się, że dziś od kilku tylko ludzi zależy los świata. Nie dziwny się – moloch technologiczny skleja poszczególne części tego świata, więc i skleja się ludzka władza nad nim. Jeden organizm – jedno kierownictwo. Polityczny efekt globalizacji.

12 maja

Celina Lesiewicz pisze: „Żyjemy w szale nie ciekawych czasach, gdy jedna epoka – jak Średniowiecze – na naszych oczach się kończy, a jaka będzie następna – tego nie wiemy. Wynalazek druku odmienił tamten stary świat, nas odmieniają komputery, Internet, smartfony, sztuczna inteligencja, roboty i nie wiadomo, co jeszcze Ludzkość w tej dziedzinie wymyśli; zmiany idą bardzo szybko. Zatem na naszych oczach tworzy się NOWA EPOKA i ja myślę, że BARDZO POTRZEBNI są właśnie diaryści, kronikarze, którzy w swojej twórczości uchwycą jej charakterystyczne cechy. Pan dokładnie takim kronikarzem jest. Z uwagą czytam Pana *Notes* publikowany w „Akancie” i chłonę Pana obserwacje. Są niezwykle trafne. Czyli: „Akant” ma swojego kronikarza, diarystę. To bardzo dobrze”.

– Tak, to może dobre, ale szalenie trudne – odpowiadam.

13 maja

Do kościoła weszło towarzystwo stare i brzydkie. Grube na dodatek.

Czy po wykapaniu się w pięknie modlitwy i Najświętszej Ofiary wysubtelnieją? Może tak, bo i ja będę inny.

14 maja

Za sprawą wglądu w różne publikacje i korespondencje, obserwuję powstawanie nowych koterii i konstelacji literackich. Wzajemne pochwały, dęte określenia, ukłony, które wiatr historii i tak zdmuchnie, listy internetowe, spotkania... Uczestnikom tych konstelacji wydaje się, że tworzą jakieś hierarchie, że utrwalają oceny, że publiczność to łyka, a już na pewno uniwersyteccy badacze literatury. Celnie te zjawiska ujmował tytuł wydawanego przez Jerzego Grupińskiego czasopisma kameralnego „Protokół Towarzyski”, które za sprawą komunikacji wirtualnej, ale też chyba jakichś dalekosiężnych wizji, rozwinęło się w „Protokół Kulturalny”.

Jedna z gwiazd takich konstelacji zachnęła się, gdy w prywatnej – do niej – korespondencji napisałem o koteryjnym charakterze zaprezentowanego przez nią doboru. Po chwili refleksji powiedziała:

– Może to jest środowisko, ale na pewno nie koteria.

Jak zwał, tak zwał.

15 maja

Dobrze, że ludzie mają jeszcze swoje mikroświaty i mikrohistorie, że jeszcze nie rozpuścili się do końca w wirującej brei stehnologizowanej rzeczywistości. ❖

Pierwszy wśród literackich kwartalników

- Arkusz poetycki Gdańskiego Klubu Poetyckiego
- Krystyna Śmiechowicz, Kwiecień 2025 - miasto Kijów
- Andrzej C. Leszczyński, Tragedia i tragiczność
- Marek Wawrzkiwicz, Skamandryci i Zeroni

- Roman Warszewski, Kto komu i dlaczego dał popalić, biatyka dwóch noblistów
- Czesław Karłowicz, Pogaj wieczór i dziś
- Małgorzata Dorna (Wendrychowski), Zabralam swoje czerwone obrazy... o malarstwie Danuty Joppek
- Mahmoud Darwich, wiersze, tłum. K. Brakoniecki

Mieczysław Czychowski

(1931 - 1996)

Palenie w piecu

Pozbierałem rozrzucone:
rozruciłem obumarłe.
Ile trzeba się natrudzić,
żeby zlepić z prochów – gamek.
Gamek w domu – rzecz potrzebna,
na miód pszczeli i gorczyce.
Siedzę teraz. W piecu palę.
I u ręki palce liczę.
Liczyć palce – rzecz okrutna.
Łatwa. I ogromnie smutna.

W numerze prezentujemy prace Danuty Joppek
Plakat poetycki: Artur D. Lisowski, Do czego służą wiersze
Plakat: Danuta Joppek
Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2026

Adres redakcji: 80-419 Gdańsk, ul. Dubois 59
e-mail: joa@migotania.pl, tel. 601 840 302

Renata Mosionek

Delikatne ujęcia

Anna w dzieciństwie wróżyła z traw
chwytając w dwa palce nasadę plewa
ciągnęła sprawdzając dziewczynka czy chłopiec

czasami wielichna rozchyłała pochwę
pozwalając języczkom liściowym
łaskotać szorstką strukturę
w trzonie gromadziła wodę
wszystkie chwile które były się być
rozumiała

z tymotka odrywała cieniutkie witki
wkladała do ust te najbardziej soczyste
z jeszcze białą końcówką
słodkawy posmak dojrzewających pędów
pozostawał najdłużej

duże krępy porastające nieużytki
to tam odnalazła spokój

najbardziej kochała krwawnik
na wysokości drewnianej stajni
porastał omszałe płaty
mdła woń pomieszana z gorzkim smakiem
i ten delikatny szelest tysiąclist

mówiła spójrz jak skiby łączywie pochłaniają wodę
nim kropla dosięgnie gleby
trawy upomną się o nią
jak to słońce podarte i rozrzucone
na brzegu sadzawki u Miłskich

Wyprowadzanie

Anna nie ma ojca
pochowała go dawno temu
na skraju sennej wsi
takiej co to szemrze zbożem

tamtego ranka było ciepło
mgły otaczały zagajnik
równe stygi skoszonej trawy
w połączeniu z kapliczką przy drodze
stworzył sielski obraz

w to miejsce kolumna żałobników
taszczyła ciężką dębową skrzynię
płaczki jedna po drugiej ocierały łzy
rąbkami cienkich chusteczek

do jelcza przesiąkniętego zapachem benzyny
ktoś włożył ławki
sękate pałaki wieńców ocierały łydki
pomocnych malców

szła z opuszczoną głową
krok za krokiem
łza za łzą
czasami którąś zlizwała z górnej wargi

słona

tak jak spracowane ciało taty
który szeroko rozwierał ramiona
aby po chwili unieść ją nad głową

Projekcje

na skraju łąki
tam gdzie jaskrami usłany kobierzec
Anna ma swoje miejsce
pisze wiersze
nieporadne z ledwością dotykające metafor
kiepskie pełne przemilczeń i bólu
a jednak kłujące do szpiku kości winnych

biedna myślała że świat przyjmie
z otwartymi ramionami te liche słowa
zapisane na skrawkach serwetek
lub w pośpiechu na zdreszczonym kawałku uda
w miejscu gdzie jeszcze nie zdążyła wyschnąć ślina

rozdrapywane raz za razem historie
zgryzane niczym paznokcie do krwi
aż po ciekłość nagłych wybroczyń
wspomnień mężczyzn którzy zawiedli
i kobiet dla których jest solą w oku

Lebioda

Anna gotuje flaki
w wielkiej balii namacza jelita
rozczłonkowane cielsko woła
kruszeje w sieni
cienkie gazy nasiąknięte brunatną mazią
skutecznie odstraszaają muchy

metaliczny posmak krwi wabi zgłodniałe zwierzęta
wielki łeb dynda na sztachecie
dwa cięcia siekierą między oczy
robactwo się złazi

żołądek czyści nożem
wygrzebując resztki nieprzeżutej trawy
ogromny płat
pokrojony w cienkie plastry
niczym czerwia rozsypane na stole cierpnie

na oknie lebiódką porusza wiatr
zielone listki kołysze spokojnie
w prawo
w lewo
niewymuszony taniec

Strzępki

Lucyna sadi cynie pod płotem
wyłamane sztachety sterczą niczym żebra biedaków
spędzonych pod kruchtę klasztoru

samosiejki malw znaczą granicę
twoje
moje
pomiędzy ocynkowany gar z deszczówką

skóra jak niebo w szerokim paśmie światła
błada
usłana piegami

ilu to już synów zadzierzgniętych pępownią wydała na świat

poniewierają się małe kawałki szczęścia między miętą a ostróżką
siateczkami owadzych skrzydeł oblepiona kapusta

Autoportret (1)

(rzec w dwóch odstępach o patrzeniu w lustro)

Scena I

[Koło, w połowie czarne, w połowie białe, o średnicy 5-6 metrów, umieszczone na scenie obrotowej, jako podłoga, otoczone ze wszystkich stron amfiteatralnie widownią. Między siedzeniami dla widowni cztery przejścia zorientowane na cztery strony świata. Na środku koła, dokładnie na linii czerni i bieli, stoi drewniany stół. Stół jest prostokątny i posiada dwie szuflady umieszczone pod krótszymi bokami stołu. Dokładnie w połowie stołu znajduje się, przymocowana na stałe, pusta rama, która symbolizuje/udaje lustro, o wysokości przynajmniej 150 centymetrów i szerokości stołu. Z obu stron „lustra”, przed stołem stoją zwyczajne drewniane krzesła z oparciami – jedno białe, drugie czarne. Stół do połowy, czyli do „lustra”, jest biały, od połowy czarny. Rama „lustra” biała z białej strony stołu i czarna z czarnej strony stołu. Białe krzesło stoi po białej stronie stołu, na białej części koła, czarne krzesło stoi na czarnym polu, po czarnej stronie stołu. Można też zastosować inne dwa kolory, byle z sobą kontrastowały, np. zieleni i czerwieni lub róż i seledyn. Światło w typie szarawej poświaty nie wychodzi poza okrąg sceny. Stół i jego otoczenie raczej dobrze oświetlone. Na białym polu, na lewo od stołu, stoi czarne drzewo bez liści, na czarnym polu, na lewo od stołu, stoi białe drzewo bez liści. Na obu drzewach siedzą czarne ptaki, najpewniej gawrony lub wrony. Na czarnym krześle siedzi mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemne kolory. Na białym krześle siedzi mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasne kolory. Mogą to zagrać bliźniacy, ale nie muszą, byleby jednak aktorzy byli podobnego wzrostu i podobnej postury, z podobną fryzurą (musi zachodzić wrażenie podobieństwa). Scena obrotowa kręci się cały czas, ale bardzo powoli. Biały mężczyzna oznaczony jest w tekście literą „B” (biały), czarny mężczyzna literą „C” (czarny). Mężczyźni siedzą, nie muszą patrzeć w „lustro”, w tle jakieś dźwięki – szum wiatru, szelest liści, głosy ulicy, głosy z telewizora, głosy zza ściany, głosy z kuchni, dzwonienie budzika, dźwięk przelatującego nad domem śmigłowca, głosy dzieci z placu zabaw itp., itd., a wszystko przytłumione i wymieszane z jakąś skoczną melodyjką, jakby po drugiej stronie rzeki rozbiło się wesołe miasteczko. W którymś momencie, gdy scena robi przynajmniej jeden pełny obrót, mężczyźni, nie stosując chwytu lustrzanego odbicia, ale w miarę równo, choć każdy inaczej, wyjmują ze swojej szuflady dobrej marki papierosy i zapalniczki, np. Big Star oprawione w skórę. Zapalają po papierosie, a resztę chowają do

szuflady. Palą i teraz patrzą w „lustro”. Po kilku zaciągnięciach się dymem papierosowym, a dym musi być wyraźny, prawdziwy, zaczyna „Biały”. Muzyka i dźwięki wyciszają się. Alternatywą dla ruchomego rozwiązania jest scena tradycyjna. Wtedy dłuższy bok stołu należy ustawić bokiem do widowni, a koło zastąpić statycznym biało-czarnym prostokątem.]

B: Podnieś rękę. (pauza)

C: (podnosi rękę bez jakiegokolwiek zdziwienia) Podniosłem.

B: Wstań. (pauza)

C: (wstaje z uniesioną ręką, odsuwa krzesło do tyłu, patrzy w „lustro”) Wstałem.

B: Co widzisz? (pauza)

C: Człowieka.

B: Co on robi? (pauza)

C: Podnosi rękę.

B: Może pójdziesz do niego.

C: Idę. (przechodzi na drugą stronę i staje za plecami „Białego”)

B: Dotknij go.

C: Dotknąłem. (kładzie rękę na ramieniu „B”, w drugiej nadal trzyma papierosa, obaj co jakiś czas zaciągają się dymem)

B: Co czujesz? (pauza)

C: Ugina się. Nie jest chłodne.

B: Jeżeli się ugina, nie jest chłodne i jest podobne do ciebie...

C: Człowiek.

B: Człowiek? (pauza)

C: Podobny do mnie.

B: Co robi?

C: Pali papierosa.

B: Tak, jak ty?

C: Tak samo.

B: Możesz go o coś zapytać? (pauza)

C: Mogę.

B: Zapytaj.

C: (wraca na swoją stronę, przysuwa krzesło, siada na nim, pali papierosa) Już.

B: I?

C: Odpowiedział.

B: Co? (pauza)

C: Że widzi człowieka, który w uniesionej ręce trzyma zapalonego papierosa.

[Wracają dźwięki i odgłosy, słychać też skoczną muzykę. Gdy skończą się zapalone papierosy mężczyźni gaszą je na blacie stołu, a potem z szuflady wyjmują nowe i znowu zapalają. Resztę znowu chowają. Z papierosami w ustach wstają, przechodzą obok stołu, zamieniają się miejscami, siadają, Biały na czarnym krześle, a Czarny na białym. Czarny teraz gasi swojego papierosa na blacie stołu. Rozmowa się powtarza z wszystkimi szczegółami, z tym, że teraz Czarny zadaje pytania i wydaje polecenia. Wszystkie gesty i kroki pokazane przed chwilą przez Czarnego, Biały wykonuje z mniejszą naturalnością i oczywistością. Jest bardziej impulsywny i nienaturalny.]

C: Podnieś rękę.

B: Podniosłem.

C: Wstań.

B: Wstałem.

C: Co widzisz?

B: Człowieka.

C: Co on robi?

B: Podnosi rękę.

C: Idź do niego.

B: Idę.

C: Dotknij go.

B: Dotknąłem.

C: Co czujesz?

B: Jest ciepło i miękko.

C: Skoro jest ciepło i miękko?

B: Człowiek.

C: Jaki on jest?

B: Podobny.

C: Podobny? Do kogo?



NOCLEGI ŻNIN

Stara
KAMIEDICA

5
 ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

B: Do mnie.

C: Co robi?

B: Pali papierosa.

C: Tak, jak ty?

B: Tak samo.

C: Możesz go o coś zapytać?

B: Mogę.

C: To zapytaj.

B: Już. *(wraca na swoją stronę)*

C: I?

B: Mówi, że widzi człowieka, który w uniesionej ręce trzyma zapalonego papierosa.

[Światło przechodzi w półmrok. Wraca muzyka, wracają dźwięki i odgłosy. Biały podchodzi do stołu i gasi na blacie papierosa. Potem zdejmując płaszcz (lub marynarkę) i tę część swojej garderoby przesuwa przez „lustro” na drugą stronę, na kolana Czarnego. Ten wstaje, zdejmując swój płaszcz (lub marynarkę) i przesuwa przez „lustro” w ręce Białego. Obaj ubierają swoje nowe kolory, przysuwają krzesła do stołu, siadają na nich, łokcie opierają na krawędzi stołu i patrzą w „lustro”. Światło znowu mocniejsze, muzyka i dźwięki wyciszają się. Tym razem mężczyźni tylko rozmawiają. Nie ruszają się z miejsca i nie wykonują żadnych wyrazistych gestów czy ruchów, ale nie muszą siedzieć jak przymurowani. Wszystko w zasadzie widać na ich twarzach, które powinny być odbiciem ich duszy. W trakcie rozmowy dwa lub trzy razy odzywają się ptaki na drzewach. Są to wyraźne głosy gawronów lub wron. Ich krakanie dochodzi z białego lub czarnego drzewa i na moment zatrzymuje rozmowę mężczyzn, którzy spoglądają wtedy w stronę odzywającego się ptaka. Mężczyźni, bez względu na noszone kolory, nadal pozostają postacią „B” i „C”.]

B: Podniesiesz rękę?

C: Podniosę.

B: Wstaniesz od stołu?

C: Gdy będzie trzeba.

B: Co zobaczysz?

C: Pewnie człowieka.

B: Co ten człowiek może zrobić?

C: Podniesie rękę.

B: Podejdiesz do niego?

C: Może podejdę.

B: Dotkniesz go?

C: Prawdopodobnie.

B: Ciekawe, co pocujesz?

C: Jeżeli nic się nie zmieni... że jest miękko i ciepło, że się ugina.

B: Jaki on będzie?

C: Podobny.

B: Do kogo?

C: Oczywiście do mnie.

B: On coś zrobi?

C: Domyślałem się, że zapali papierosa.

B: Będziesz go mógł o coś zapytać?

C: Nie wiem.

B: A chociaż spróbujesz?

C: Nie wiem.

B: A jeżeli zapytasz, to co się stanie?

C: Odpowie, chociaż to nic pewnego.

[Światło przygasa, wracają głosy i dźwięki, wraca muzyka, ale teraz to jest inna muzyka, bardziej refleksyjna, może nawet psychodeliczna. Mężczyźni odsuwają krzesła, wstają, podchodzą do stołu, łapią go od spodu i okręcają w miejscu o 180 stopni, stawiając go ponownie dokładnie na linii bieli i czerni. Potem wracają na swoje krzesła, których położenie się nie zmieniło, przysuwają je nieznacznie, aby móc usiąść „po amerykańsku”, z nogami opartymi o brzeg stołu. W połowie tej rozmowy nad ich głowami przelatuje niewidoczne stado kraczących gawronów lub wron. Gdy to się dzieje, mężczyźni przestają rozmawiać, patrzą w niebo, śledzą wzrokiem przesuwające się nad nimi ptaki. Teraz muzyka i odgłosy się wyciszają. Światło mocniejsze.]

C: Na pewno wstaniesz?

B: Kiedyś na pewno.

C: I podniesiesz rękę?

B: Podniosę.

C: I zechcesz ujrzeć człowieka?

B: Tak. Chyba tak, ale to nic pewnego.

C: No i nie podejdiesz do niego. Bo i po co?

B: Nie podejdę? Nie wiem. Czas pokaże.

C: Wyobrażam sobie jak go dotykasz. Z jakim obrzydzeniem, bo pod ręką pocujesz chłód.

B: Pocuję ciepło, chociaż to nic pewnego.

C: Zastanawiam się, czy to ciepło albo ten chłód może być człowiekiem?

B: Istnieje takie prawdopodobieństwo.

C: A więc człowiek. Mimo wszystko człowiek. *(pauza)* Chyba się nie zbuntuje?

B: Raczej zapali papierosa, zaklnie szpetnie, wysika się pod murem w środku miasta.

C: Będziesz musiał go o coś zapytać.

B: Chyba tak.

C: I?

B: Mam nadzieję, że odpowie.

C: Czy to coś zmieni, załatwi albo wyjaśni cokolwiek?

B: Nie mam pojęcia.

C: Więc po co ta rozmowa?

B: Bo on potem zacznie mówić, opowiadać. Może nawet pełnymi zdaniem.

C: Co taki człowiek może ci opowiedzieć?

B: Całe swoje życie.

C: W paru zdaniach całe życie?

B: Być może, chociaż to nic pewnego.

[Światło przygasa, wracają odgłosy, wraca psychodeliczna muzyka. Biały i Czarny wstają, zdejmując płaszcze lub marynarki i ponownie przesuwa je przez „lustro” na drugą stronę. Potem wdziewają na siebie odzyskane części garderoby i przyglądają się sobie w „lustro”. Każdy w swoim, więc żadnej zgodności ruchów i żadnego efektu lustrzanego odbicia. Ponieważ nie są zadowoleni ze swojego wyglądu, z wewnętrznej kieszeni marynarki lub płaszcza wydobywają coś miękkiego na głowę – beret, wełnianą czapkę, mykę lub cokolwiek innego, np. papierowy trójkąt-pieróg z jasnej lub ciemnej gazety. Z jasnej marynarki jasne nakrycie głowy, z ciemnej marynarki ciemne. Przymierzają to coś, ale ponieważ nadal nie są zadowoleni ze swojego wyglądu, zamieniają się nakryciami, przesuwa je przez „lustro” na drugą stronę stołu. Potem podnoszą to coś ze stołu, zakładają na głowę, sprawdzają wygląd w „lustro” i – teraz już zadowoleni – chwytają stół od spodu, okręcają go o 360 stopni, stawiają na poprzednim miejscu. Potem siadają wygodnie na krzesłach z rękami w kieszeniach płaszcza lub marynarki i z nogą zarzuconą na nogę. Światło wraca do stanu poprzedniego, muzyka i odgłosy wyciszają się.]

C: Nie bardzo rozumiem, co taki człowiek może ci opowiedzieć?

B: Ludzie zazwyczaj opowiadają całe swoje życie. Wystarczy, że im na to pozwolisz, że zaczniesz słuchać...

C: Jak w paru zdaniach można opowiedzieć całe życie?

B: Niektórzy potrafią. Ja też potrafię, chociaż to nic pewnego.

[W wyglądzie sceny i światła nic się nie zmienia. Natomiast Czarny i Biały zbliżają się z krzesłami do stołu. Każdy wysuwa spod stołu swoją drewnianą szufladę. Zagląda do niej, grzebie w niej, biorąc do ręki i oglądając różne przedmioty, jakie zazwyczaj gromadzą się w domowej szufladzie, która nie jest częścią kuchennego kredensu. Mogą to być przedmioty najnormalniejsze, typowe i najdziwniejsze, oryginalne, byle tylko były logiczną częścią świata człowieka i zmieściły się do szuflady. Wiadomo więc, że nie może się tam znaleźć siodło na konia do jazdy wierzchem czy ogrodowa konewka z sitkiem do polewania kwiatów. Po kilku minutach zabawy w oglądanie przedmiotów Czarny i Biały trafiają w swojej szufladzie na szarą kopertę. W każdej kopercie

Autoportret

dokończenie ze str. 9

znajduje się kilkadziesiąt kartek formatu A-6, które zawierają „opowieść” o życiu. W jednej kopercie znajdują się tylko pierwszoosobowe czasowniki, „opisujące” trwanie życia człowieka, np. – mieszkam, poślubiłem, wykonuję, chodzę, nie znam, nie wiem... itd. W drugiej kopercie znajdują się tylko hasła rzeczownikowe z dodatkiem zaimka przymiotnego, np. – jakiś dom, jakaś kobieta, jakiś zawód, jakaś praca... itd. Biały i Czarny wydobywają kartki z kopert, oglądają je, potem rozkładają w dłoni jak talie kart i zaczynają rozmawiać na ten temat.)

B: Co znalazłeś?

C: To jest jakaś dziwna opowieść o życiu. Wygląda jak gra karciana. A co ty masz u siebie?

B: Coś podobnego. I też wygląda jak karty do takiego salonowego flirtu. Nie rozumiem, o co tu chodzi.

C: Sprawdźmy, jak to działa. Zagrasz ze mną w moje życie?

B: A ty w moje?

C: Spróbuję.

B: To zaczynaj.

C: Nie, ty zaczynaj.

[Biały bierze do ręki pierwszą, dowolną kartkę ze swojej talii, odczytuje zapisany na niej czasownik i rzuca kartkę na stół. Czarny szuka w swojej talii jakiegoś odpowiedniego lub całkowicie przypadkowego rzeczownika z zaimkiem, a gdy go znajduje w swojej talii, odczytuje słowa, a kartkę rzuca na stół.]

B: Czekam.

C: Jakaś choroba.

B: Posiadam.

C: Jakaś świadomość.

B: Przeczuwam.

C: Jakiś nocnik.

B: Wykonuję.

C: Jakies pieniądze.

B: Mieszkam.

C: Jakaś litość.

B: Uciekam.

C: Jakaś praca.

B: Szukam.

C: Jakaś siekiera.

B: Tracę.

C: Jakiś samolot.

B: Poślubiłem.

C: Jakiś hipermarket.

B: Niańczy.

C: Jakiś długopis.

B: Pragnę.

C: Jakaś kobieta.

B: Nie posiadam.

C: Jakies rozwiązanie.

B: Chodzę.

C: Jakiś niepokój.

B: Nie odczuwam.

C: Jakies dziecko.

B: Gromadzę.

C: Jakiś koniec.

[W tym momencie Czarny rzuca wszystkie swoje kartki na stół, wyraźnie niezadowolony z przebiegu „gry”]

C: Oczywiście, że koniec! To jakaś kompletna chujoz! Nic z tego nie rozumiem.

[Mężczyźni wstają, zabierają z sobą swoje krzesła i przechodzą z nimi na drugą stronę stołu. Tam stawiają krzesła i znowu zasiadają do gry.]

B: Spróbujmy jeszcze raz. Raz jeszcze spróbujmy. Jeszcze spróbujmy raz.

[Obaj zgarniają leżące przed nimi kartki i wkładają

do szuflady. Szuflady przymykają na tyle, aby móc wsunąć do nich tylko dłonie. Teraz kartki wybierane są z szuflady „losowo”, ale czasowniki „jakimś cudem” znikają, a w obu szufladach pozostają tylko rzeczowniki, a losowane słowa układają się w jakieś frazy, rozwijają w dziwne „logiczną” historię. Robi się nieco ciemniej. Cicha psychodeliczna muzyka w tle. Żadnych odgłosów.]

C: Adres.

B: Jakies drzwi.

C: Zapach potu.

B: Jakies ciało.

C: Osiem godzin.

B: Jakaś fabryka.

C: Noga za nogą.

B: Jakaś beznadzieja.

C: Krok za krokiem.

B: Jakaś nuda.

C: Zływanie się po nocach.

B: Jakies pieluchy.

C: Milion zbędnych słów.

B: Jakaś grafomania.

C: Kupowanie i ustawianie.

B: Jakies przedmioty.

C: Straszne sny.

B: Jakaś obsesja.

C: W gardle klucha.

B: Jakiś lęk.

C: Przyczajona.

B: Jakaś starość.

C: Coraz rzadziej.

B: Jakies współczucie.

C: Szczur w klatce.

B: Jakaś niewiadoma.

C: Marzenia.

B: Jakaś niepoliczalność.

C: Za siedmioma górami, za siedmioma ulicami.

B: Jakaś prawda.

C: Za szafą, w pajęczynach.

B: Jakaś tajemnica.

C: Na drewnianych schodach.

B: Jakaś miłość, chociaż to nic pewnego.

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

[Mężczyźni wyjmują ręce z szuflad. Powracają odgłosy, ale muzyka znowu się zmienia. Teraz jakieś walczyki wiedeńskie. Robi się jaśniej. Teraz wstają, łapią stół od spodu i okręcają go o 180 stopni. Siadają na krzesłach po tej stronie, gdzie znaleźli się razem ze stołem. Po chwili wstają, aby zdjąć marynarki (lub płaszcze). Wieszają je na oparciach krzesel. Sprawdzają swój wygląd w „lustrze”. Przyglądają się sobie dosyć uważnie. Badają twarz, wciągają brzuch, zaciskają i otwierają pięści. Muzyka przycicha, odgłosy gasną. Światło bez zmian. Oni stoją.]

B: Odchodzę.

C: Jakieś odchodzenie. (pauza)

B: Życie.

C: Jakaś bzdura. (pauza)

B: Jaka bzdura?

C: Nic wielkiego. (pauza)

B: Nic?

C: Trochę boli.

[Cisza. Mężczyźni zrzucają na ziemię płaszcze lub marynarki. Zdejmują nakrycia głowy i też je rzucają na podłogę. Siadają na krzesłach okrakiem, tyłem do „lustra”.]

C: Świat jest pełen słów. Wszędzie pełno ludzi. Ze słów można ułożyć modlitwę, wiersz, albo regulamin. Albo wyrok śmierci. Ludzie mogą zebrać się w jednym miejscu, aby utworzyć procesję, manifestację albo pluton egzekucyjny. Coraz częściej unikam słów i ludzi. Jednak ludzie ciągle mnie odnajdują. A gdy już odnajdą, to słowo za słowem, zdanie za zdaniem, do obrzydzenia.

B: Ostatnio stwierdzili, że powinienem żyć rozsądniej. Powiedzieli wprost: żyj rozsądniej.

C: To znaczy? Jak zdefiniować rozsądek?

B: Bo co to w ogóle znaczy – „żyj rozsądniej”?

[Odwracają się razem z krzesłami, na których siedzą. Teraz siedzą okrakiem twarzą do „lustra”.]

B: Zauważyłem, że na czarnych drzewach siedzą czarne. Siedzą i patrzą.

C: Zauważyłem, że na białych drzewach też siedzą czarne. Siedzą i patrzą.

B: Czyszcza dzioby. Ruszają skrzydłami.

C: Siedzą i patrzą.

B: A ja tu. Tutaj przepadam. Między białym i czarnym.

C: Nic się nie dzieje. Nic się nie zmienia.

[Pauza. Czarny i Biały opuszczają głowy na ręce, które leżą na oparciu krzesła. Z oddali kilka taktów muzyki, nadal walczyk, kilka jednorazowych dźwięków, odgłosów i zapada cisza. Nie podnoszą głów.]

B: Czarne wężą. Jestem głodny.

C: Ciało znika. Oddech pełza po ścianie.

B: Stoję pod drzewem.

C: Potem otworzę okno i...

B: I nic się nie stanie. Ale jutro, kto wie...

C: Teraz mam jeszcze dużo czasu.

B: One też.

C: One też?

B: Są ciepłe.

[Biały i Czarny zaczynają się powoli rozbierać do samej bielizny. Zdejmują z siebie wszystko, prócz spodenek-bokserek, pod którymi musza być slipy. Bokserki okazują się bajecznie kolorowe, w jakieś kwiatuszki, kaczuski czy inne słoneczka i palmy. Zero erotyki, raczej naga prawda o marności ciała. Żadnych tatuży. Rozbierają się, a kolejne części garderoby rozrzucają wokół siebie, ale nie przekraczają bieli lub czerni swojej połowy. Cały czas też w tle słychać ściszone odgłosy i ściszoną muzykę, wszystko razem, co do tej pory działo się w tle dźwiękowym. Ten szum nie może jednak zagłuszać ich dialogu/monologu, który prowadzi z coraz większą gwałtownością. Napięcie wzrasta, ale bez krzyku. Żadnej egzaltacji i hysterii. Jeżeli „krzyk”, to przez zaciśnięte zęby. Światło mocne, niemal jak na Sali operacyjnej.]

C: Rozpadam się. Rozpadam.

B: Rozpadam się. Odbarwiam się, przyparty do muru.

C: Przechodzę z czerni w biel. Przechodzę.

B: Albo z bieli w czerni przechodzę.

C: Chociaż to nic pewnego. Okna. Na pewno są okna.

B: W oknach nie ma światła. Szyby huszczą się mistycznym chłodem.

C: Za płotem zima. Za siedmioma ulicami lepszy, nowy świat.

B: Nade mną stada gawronów. Ich krzyki są jak słowa, jak mroczne sny, których nie rozumiem.

C: Rozpadam się. Zapadam w mroczny sen. Piję. Upijam się.

B: Piję. Klnę. Przeklinam. Żyję w czterech ścianach wiersza.

C: Wyobrażam sobie Bóg wie co. Rozpytuje o Boga na bezdrożach.

B: Odbarwiam się. Grzeszę, ale jakoś tak, bez przekonania. Chyba nawet bardziej dręczę się i zadręczam małością moich grzechów, ich gównianą znikomością. Z takimi grzechami, jak moje, nie przechodzi się do historii.

C: Otaczają mnie chóry anielskie. Próbuja ukoić mój ból. Banalny ból zwyczajnego nieistnienia.

B: Czasem tylko wrzask, wycie, skowyt.

C: Skąd to wycie... ten wrzask?

B: To ja tak wyję i skowyczę.

C: Wrzeszczę, ale nikt nie słyszy. Nikt nie słucha.

B: Mur.

C: Wysoki mur z czerwonej cegły.

B: Chociaż to nic pewnego.

C: Życie jest jak mur.

B: Wystarczy raz tylko się zawahać.

C: Aby poczuć zapach krwi płynącej po ceglach.

B: I ujrzyć własne ciało przyszpilone światłem do tych cegieł.

C: Potem, jak zwykle, wraca cisza. Skrzypią drewniane schody.

B: Nawet nie zauważysz, gdy czarne sfruną z białych i czarnych drzew.

C: I zrobią porządek.

B: Tak.

C: Właśnie tak.

[Kakofonia dźwięków. W tle różne muzyczki i odgłosy, a na pierwszym planie słychać szum nadlatującego stada gawronów lub wron. Słychać ich gardłowe krzyki-krakanie. Czuć falowanie zagrożenia. Biały i Czarny, już w tylko w spodenkach-bokserkach, łapią za oparcia krzesel i próbują się tymi krzesłami osłonić przed nadlatującym zagrożeniem. Chwila zawahania. Patrzą w niebo, skąd sphywa nienawistne krakanie. W tym momencie światło gaśnie do zera. W ciemności słychać trzask i łoskot tłuczonego szkła. Nastaje cisza. Gdy światło powoli odzyskuje swą moc, na scenie brakuje krzesel i mężczyzn. Stoi stół, stoją drzewa, a wokół stołu porozrzucone ubrania i kawałki tłuczonego lustra. Dobiega z oddali krakanie pojedynczych ptaków. Scena kręci się nadal. Koniec części pierwszej.) ♦

cdn.

Droloff
Przewozy krajowe i zagraniczne

Przewozy krajowe i zagraniczne

- ☐ przewozy krajowe i zagraniczne
- ☐ wyjazdy turystyczne
- ☐ zorganizowane wyjazdy narciarskie
- ☐ przewozy pielgrzymów
- ☐ obsługa zawodów sportowych
- ☐ obsługa wyjazdów służbowych
- ☐ obsługa wyjazdów rekreacyjnych

ul. Broniewskiego 38/12, 87-100 Toruń
tel. 56 686 05 05, 604 282 235
www.droloff.com.pl

Marek Bocian

o Bogu to się tak mówi

da dzieci da na dzieci
da dzieci da
na dzieci
on tak ciągle pracuje
joystickiem kciuk wykoślawia
lubi dzieci daje da na dzieci
- to się tak mówi
wojna pokój
wyczerpuje
tu etat tam pół
dzieci są czyste
noszone pod sercem
lubi czystość da dzieci
da na dzieci
nie zabijać
głodować nie
da chorować porywać
da dzieci
tylko wiary trzeba
nie opuści oczu
sięgając pod stół
sekundy dzieci ulicy
połapie zerwane linki
da na dzieci
kocha dzieci
wszystkie są nasze
uznane
są przyszłością
kwiaty natury

wydane światu da
wojna i pokój i
późna demencja
- bank mnie porobił
najpierw import eksport
w co tu ręce mam włożyć
urobione po łokcie
żywica na mózgu da
monumentalne
wielowatkowe
dzieło boga alimenciarza
da
a w nim
da dzieci
da na dzieci
da da

Maria Balcer

Sny

Schody do *wtedy*
windą do *tam*
okno przez które
widać *nigdy*
- sny –
życie *obok*
obecność *jak zawsze*
ludzi co jeszcze
bez czapek-niewidek

Bogdan Łoś

przed(nie)śmiertelni

po zbliżeniu
i przed 1967 nieboskłonem słońca
post Christum natum
wszedłem w białe mleko jak ze szkła
– rodząc się

sycilem
i prędeję jeszcze
tak samo oddawałem w posiadanie

tobie w owym czasie znów pochlipującej
przesłodczy owoc jabłoni wyboru
i zbytku

i zanim pierwsze gu gu
język w słodki miąższ

także dobry Bóg
na miarę kornecisty Satchmo
pod nosem przebąkiwał standard
What a Wonderful World

wyszczrzył zęby
jak boże ciele prostodusznie do sera

i w płasach wokół przenikniętej pary
bez k o r c a bujał obłoki
na biegunach czas

kiedy
poruszeniem miriadów chórów anielskich
przeddoczesnej wędrówki

kochankowie
gdy dwoje zabujani nawzajem

i my przewrotnie
przemysłni

Wojciech Czaplewski

Mały chłopiec wspina się po schodach

ma dwa lata
niezmordowanie wspina się i schodzi
pupa w miękkim pancerzu pieluchy
odmierza stopnie góra i dół
góra i dół

liczy stopnie
liczy do jednego

chłopiec wspina się po schodach
używa do tego rąk

kolan
brzucha
oczu

i tego czegoś co ma
w głowie

smoczek na przyczepionym
do szlufki plastikowym łańcuszku
w niczym nie umniejsza tej skupionej uwagi

schody
to stan umysłu

Rafał Gawron

Opowiem Ci historię
jak Bob Dylan mówił do mnie

na czym polega różnica

jego dłoń wyrównuje mu włosy
siedzą razem
patrzę im w oczy
dla niego jest za późno
zna swoich chłopów ze wsi
i wie że jeden za jednego
wszyscy za wszystkich

dzieci są najważniejsze
a do studni daleko
z każdym rokiem dalej
jak ziemia stara wyjałowiona
choć czarna a biała
o zawdzianku nie mówi
raptem pół wieku pod górkę
nigdy w dół
ciągle narzeka bo młodych już
nie ma
jak by tak każdy myślał
nie było by na piwo
nie było by do przodu
poddąć się nie ma sensu
na tej Ojcowiźnie To nie istnieje

Wioletta Jaworska

dzieci zrobiły
serca z masy solnej
teraz twardnieją

Bartosz Konopnicki

Zakleja

Dzieci północy nie
przekuwają dziurek
w uszach

nie tatuują się
to co pod spodem
wystarczy

fotografie z dzieciństwa
zapisane w folderze
na zewnętrznym dysku zapasowym

nie wiesz gdzie jest
to nieistotne
jak cyfrowy deszcz

na monitorze
z wygenerowaną melancholią
nie mylić z melanzem
choć to prawie to samo

pytasz czy jutro też będzie
upał który zakleja oczy

będzie

Wieczór

Wieczór przyszedł do miasta jak cichy gość, który nie chce nikomu przeszkadzać, a jednak zajmuje cały pokój. Zmierzch rozlał się po ulicach miękkim, fioletowym światłem, a latarnie w parku zapalały się jedna po drugiej, jakby ktoś odliczał sekundy do czegoś, co dopiero miało się wydarzyć. Wyszedłam z domu bez konkretnego celu — tak sobie to wmawiałam — lecz prawda była prostsza i boleśnieszka: uciekałam od własnych myśli tylko po to, by dogoniły mnie wśród drzew.

Park o tej porze miał swoją odrębną muzykę: szelest liści, krótki śmiech ptaka spóźnionego na nocleg, stukanie obcasów kogoś, kto jeszcze wierzył, że szybki krok rozwiąże jego problemy. Powietrze pachniało wilgocią, trawą i ciepłem asfaltu, który oddawał ostatnie resztki dnia. Minęłam plac zabaw, na którym puste, zastygłe w bezruchu huśtawki przypominały obrazy z dawnych lat. Kiedyś rozbrzmiewały śmiechem i dziecięcym piskiem, a teraz odpowiadały jedynie cichym skrzypnięciem na każdy podmuch wiatru.

Szłam powoli, celowo. Jakbym bała się dość do miejsca, w którym będę musiała nazwać to, co we mnie siedziało. Od tygodni, a może miesięcy, nosiłam w sobie pytanie, które nie miało formy jednego zdania, tylko całą chmurę ciężkich słów. Po co to wszystko? Po co praca, rozmowy, obietnice składane w pośpiechu, plany na przyszłość, które zawsze wydają się ważniejsze niż teraźniejszość? I dlaczego, kiedy wreszcie na chwilę przystaję, czuję pustkę, jakby ktoś wyjął ze mnie wewnętrzny kompas?

Przy stawie zatrzymałam się na moment. Woda była czarna, ale nie martwa: odbijała światła latarni jak rozsypane monety. Pomyślałam o szczęściu. O tym, że ludzie mówią o nim jak o przedmiocie, który można znaleźć pod kamieniem, jeśli tylko dobrze się rozejrzeć. A ja miałam wrażenie, że szczęście to raczej pogoda: nie da się go zatrzymać w słoiku, można tylko nauczyć się chodzić w deszczu albo doceniać słońce, kiedy przyjdzie.

— Trudno uwierzyć, że ktoś jeszcze zadaje sobie takie pytania — usłyszałam nagle.

Głos był spokojny, nieco ironiczny, ale nie szyderczy. Odwróciłam się i poczułam lekki dreszcz, jakby w moich żyłach zamiast krwi popłynęło zimne powietrze.

Na ścieżce, kilka kroków ode mnie, stał mężczyzna. Ubrany elegancko — zbyt elegancko jak na park o tej porze — w ciemny płaszcz, z laseczką trzymaną w dłoni tak swobodnie, jakby była przedłużeniem jego myśli. Jego twarz wydawała się znajoma w sposób niepokojący: jakby należała do kogoś, kogo widzi się w snach, a potem nie potrafi przywołać na jawie.

— Przepraszam... — zaczęłam, bo w takich sytuacjach człowiek zawsze próbuje zacząć się o grzeczność.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

— Nie ma za co przepraszać, Katarzyno.

Zamarłam.

— Skąd pan zna moje imię?

Nie odpowiedział od razu. Zamiast tego spojrzał w górę. Podążyłam za jego wzrokiem.

Księżyc w pełni wynurzył się zza chmur, olbrzymi i jasny, jakby niebo nagle przypomniało sobie o swoim obowiązku. Wszystko wokół stało się wyraźniejsze: pnie drzew, krawędzie ławek, drobne fale na wodzie. A jednocześnie świat zrobił się bardziej nierealny, jak scena oświetlona reflektorem.

— Księżyc — powiedział mężczyzna — to stary współpracownik ludzkich nocy. Zawsze był świadkiem pytań, na które nikt nie chce odpowiadać.

Przełknęłam ślinę.

— Kim pan jest?

Odwrócił się do mnie i w jego oczach zobaczyłam coś, co trudno opisać: spokój kogoś, kto nie musi się spieszyć, i chłodną ciekawość kogoś, kto zna zbyt wiele.

— Woland — przedstawił się, jakby podawał nazwisko zwyczajnego przechodnia. — Być może słyszałaś.

Serce uderzyło mi mocniej. Woland. To imię nie powinno istnieć w moim parku, w moim wieczorze, w mojej rzeczywistości. A jednak stał przede mną, bardziej realny niż moje wątpliwości.

— To niemożliwe — wyszeptałam.

— Oczywiście — odparł z zadowoleniem. — Najciekawsze rzeczy zawsze są niemożliwe, dopóki się nie wydarzą.

Zrobiłam krok w tył, ale moje nogi jakby przyrosły do ziemi. Strach mieszał się ze zdumieniem i — ku mojemu wstydowi — z czymś jeszcze: z ulgą. Jakby ktoś wreszcie przyszedł do mnie z odpowiedzią, nawet jeśli miałyby być okrutne.

— Dlaczego... dlaczego tu jesteś? — zapytałam.

Woland przesunął laseczką po żwirze, rysując niewidzialny znak.

— Powiedzmy, że spaceruję. A ty? Szukasz sensu życia i przyszłości, prawda? Wyglądasz, jakbyś niosła w kieszeni kamień, który udaje pytanie.

— Nie jestem pewna, czy sens istnieje — przyznałam. — A jeśli istnieje, to może nie dla wszystkich.

— Ach — mruknął. — To już coś. Zwiążenie jest początkiem uczuciowości.

Usiedliśmy na ławce, jakby to było najnaturalniejsze na świecie: ja, kobieta z myślami ciężkimi jak mokra wełna, i on — ktoś, kto nie powinien pojawić się w żadnym parku, chyba że park jest tylko dekoracją. Ławka była chłodna, drewno lekko wilgotne. Księżyc świecił nad nami jak oko.

— Mówisz: „sens” — zaczął Woland, opierając się wygodnie. — A co dokładnie masz na myśli? Ludzie używają tego słowa, jakby to była moneta, którą da się włożyć do automatu i dostać szczęście.

Zastanowiłam się.

— Chcę wiedzieć, czy moje życie... ma jakiegokolwiek powód. Czy to, co robię, ma znaczenie. Czy ja sama mam znaczenie. Bo czasem czuję, że wszystko jest tylko ruchem: rano wstaję, wieczorem zasypiam, a w środku dnia próbuję udawać, że coś buduję.

Woland uśmiechnął się lekko.

— A gdybyś dowiedziała się, że nie ma żadnego „powodu” z góry? Że nie istnieje plan, do którego jesteś dopasowana?

— Wtedy byłoby mi... lżej? — powiedziałam z zaskoczeniem. — Ale też straszniej. Bo jeśli nie ma planu, to mogę wszystko zepsuć.

— Możesz wszystko zepsuć nawet wtedy, gdy plan jest — odparł. — Różnica polega na tym, że w planie łatwiej znaleźć winnego.

Zamilkłam. Wiatr przeszedł przez park, poruszając gałęzie. Liście zaszeleściły jak odległe oklaski.

— Ludzie często myślą sens z usprawiedliwieniem — ciągnął Woland. — Sens ma być dowodem, że ich cierpienie nie poszło na marne. Ale cierpienie rzadko potrzebuje dowodu. Ono po prostu jest.

— To brzmi... okrutnie — powiedziałam cicho.

— Okrutna jest nieprawda, która udaje pocieszenie — odparł bez wahania. — Prawda bywa bezlitosna, ale przynajmniej nie kłamie.

Spojrzałam na staw. Woda była wciąż czarna, a jednak pełna odbici.

— A śmierć? — zapytałam nagle, bo to pytanie zawsze czaiło się za innymi. — Jeśli wszystko kończy się śmiercią, to po co żyć?

Woland uniósł brew, jakby docenił trafność pytania.

— O, śmierć. Ludzie boją się jej jak ciemnego pokoju, a przecież większość z nich w ciemnym pokoju śpi najlepiej. Powiedz mi, Katarzyno, czy przeszkadza ci, że książka ma ostatnią stronę?

— Nie — odpowiedziałam. — Gdyby nie miała, byłaby... męcząca. Bez końca.

Wieczór

dokończenie ze str. 13

— Właśnie. Koniec nadaje kształt. Bez śmierci życie byłoby rozlewającą się masą zdarzeń, bez wagi. A jednak ludzie pragną nieśmiertelności, bo myślą ją z brakiem bólu.

Poczułam, że w gardle rośnie mi gula.

— Ale przecież to niesprawiedliwe — powiedziałam. — Że ktoś znika. Że nie ma go już wcale.

Woland spojrział na mnie uważnie.

— „Wcale” to słowo, które was fascynuje. Tak lubicie absoluty. Albo wszystko, albo nic. A życie nie jest absolutem. Jest ruchem między. Znikanie też bywa różne.

— Co masz na myśli?

— Ktoś znika z twoich oczu, ale zostaje w twoich gestach, w twoich słowach, w sposobie, w jaki patrzysz na świat. Czasem ludzie zostają w was bardziej, niż byli, kiedy oddychali. To też cię nie pociesza?

Zastanowiłam się. Przypomniłam sobie babcię, jej dłonie pachnące mąką, jej powiedzenia, które nagle wychodziły mi z ust w sytuacjach zupełnie nowych. Babci nie było, a jednak była.

— Trochę — przyznałam.

— A jednak pragniesz czegoś więcej. Chcesz gwarancji — powiedział Woland. — Powiedz mi, co zrobiłabyś, gdybyś miała pewność, że twoje życie ma sens?

— Byłabym odważniejsza — odpowiedziałam natychmiast. — Nie odkładałabym rzeczy na później. Nie bałabym się, że wybieram złe.

— A więc nie chodzi o sens, tylko o lęk — podsumował. — Sens jest dla ciebie lekarstwem na strach przed własnym wyborem.

Zacisnęłam dłonie na kolanach.

— Może — wyszeptalam. — Ale czy to złe? Czy ludzie nie potrzebują czegoś, co ich prowadzi?

— Prowadzić może wiele rzeczy. Miłość. Ambicja. Ciekawość. Nawet rozpacz — odparł. — Widzisz, Katarzyno, ludzkie życie jest dziwnie piękne właśnie dlatego, że nie jest gwarantowane. Gdybyś miała pewność, że wszystko ma sens, przestałabyś pytać. A gdy przestajesz pytać, zaczynasz umierać za życia.

Słuchałam go, a park wokół zdawał się oddychać razem z nami. Czas spowolnił, jakby noc też przysiadła na ławce i chciała posłuchać.

— Skoro tak — powiedziałam — to jak żyć?

Woland zaśmiał się cicho, jakby to pytanie rozbawiło go swoją naiwną szczerością.

— Jak żyć? Widzisz, to pytanie jest piękne, bo nie ma jednej odpowiedzi. Ale mogę ci dać kilka wskazówek, jeśli już musisz mieć coś do kieszeni zamiast kamienia.

— Słucham — powiedziałam, bo w tej chwili naprawdę słuchałam, całą sobą.

— Po pierwsze: nie traktuj przyszłości jak wyroku. Przyszłość jest zbiorem możliwości, a nie gotowym korytarzem. Po drugie: nie zakładaj, że cierpienie jest błędem. Ono bywa narzędziem. Po trzecie: jeśli chcesz sensu, nie szukaj go w wielkich hasłach. Szukaj go w czynach, które możesz powtórzyć jutro.

— To brzmi... niemal prosto.

— Proste rzeczy są najtrudniejsze — odparł. — Bo nie da się ich obejść sprytem.

Zamilkliśmy na chwilę. Nad stawem przeleciał ptak, czarny cień na tle księżyca. W oddali ktoś zamknął drzwi samochodu, dźwięk odbił się od drzew.

— Wolandzie — powiedziałam ostrożnie. — A ty? Jaki jest twój sens?

Patrzył na mnie tak, jak nauczyciel patrzy na ucznia, który zadał pytanie wykraczające poza program.

— Ja nie jestem z tych, którzy potrzebują sensu — powiedział spokojnie. — Jestem funkcją. Równowagą. Lustrem. Czasem karą, czasem próbą. Zbyt wiele imion, zbyt wiele historii. Ale jeśli chcesz to ująć po ludzku: jestem przypomnieniem, że świat nie jest waszą własnością.

Przeszedł mnie dreszcz.

— A to znaczy... że mamy się bać?

— Macie pamiętać — poprawił. — Strach jest krótkotrwały. Pamięć jest skuteczniejsza.

Noc trwała, a nasza rozmowa płynęła jak rzeka, raz spokojna, raz burzliwa. Pytałam o wolną wolę, o to, czy dobro ma sens bez zła, czy człowiek jest z natury samotny. Woland odpowiadał raz zagadkami, raz prostymi zdaniami, które zostawiały we mnie ślad jak paznokcie na skórze.

— Samotność — powiedział w pewnym momencie — jest ceną za świadomość. Zwierzęta nie cierpią samotności tak, jak wy, bo nie budują w sobie całych światów. A wy budujecie. I potem dziwicie się, że czasem siedzicie w tych światach sami.

— Czyli jesteście skazani? — zapytałam.

— Nie. Jesteście zdolni. Skazanie to słowo dla tych, którzy chcą się usprawiedliwić. Zdolność oznacza odpowiedzialność.

Kiedy księżyc zaczął blednąć, a w powietrzu pojawiła się ledwo wyczuwalna nuta świtu, zauważyłam, że jest mi... inaczej. Nie lekko, nie radośnie, ale jakby bardziej przejrzyste. Jakby ktoś w mojej głowie uchylił okno.

Na wschodzie niebo przybrało kolor rozcięzonego różu. Pierwszy ptak odezwał się nieśmiało, jakby sprawdzał, czy wolno już śpiewać.

— To już? — zapytałam, bo nagle poczułam żal, że noc się kończy.

— Świt jest zawsze bezczelny — odparł Woland. — Wchodzi bez zaproszenia i udaje, że przynosi nadzieję.

— A nie przynosi?

— Przynosi to, co mu pozwolisz przynieść — powiedział. — Nadzieja też jest wyborem, Katarzyno. Nie stanem.

Wstałam z ławki. Nogi miałam zdrętwiałe, ale głowę dziwnie jasną. Woland również się podniósł, otrząsał płaszcz, jakby kończył zwykajny wieczór.

— Spotkamy się jeszcze? — wyrwało mi się. Sama nie wiedziałam, czy tego chcę, czy się boję.

Przez chwilę milczał, patrząc na park, który powoli budził się z nocy: mgła nad trawą, blade światło na ścieżkach, pierwsze kroki porannego biegacza w oddali.

— Jeśli tego potrzebujesz — odpowiedział w końcu. — Ale pamiętaj: nie przychodzę po to, by rozwiązywać wasze życie. Tylko by je naświetlić.

— Za trzy dni — powiedziałam nagle, jakbym chciała zamknąć to w konkret, w datę, w umowę. — Tu, w parku. O świcie... albo w nocy.

Woland uśmiechnął się, tym razem ciepłej, choć wciąż z cieniem ironii.

— Za trzy dni — potwierdził. — W tym samym miejscu. Niech to będzie twoja mała próba cierpliwości.

— A jeśli nie przyjdę?

— Wtedy świat się nie zawali — odparł. — I to też będzie odpowiedź.

Chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale słowa nie przyszły. Może dlatego, że wszystko, co ważne, już zostało wypowiedziane, a reszta byłaby tylko próbą zatrzymania chwili. Woland odwrócił się i ruszył alejką, która prowadziła w głąb parku. Szło mu się lekko, jakby wcale nie dotykał ziemi.

Patrzyłam za nim, dopóki nie zlał się z cieniem drzew. A kiedy zniknął, nie miałam pewności, czy naprawdę tu był, czy moja noc postanowiła opowiedzieć mi historię, której potrzebowałam.

Ale ławka pozostała chłodna pod moją dłonią. Powietrze pachniało świtem. I w mojej głowie, zamiast kamienia, leżało coś innego: ciche, niepewne przekonanie, że sens życia nie jest odpowiedzią, którą się znajduje, tylko pytaniem, z którym uczy się żyć — dzień po dniu, wybór po wyborze.

Ruszyłam w stronę wyjścia z parku. Wschodzące słońce zaczynało barwić korony drzew, a świat wyglądał, jakby dopiero co został stworzony. I pomyślałam, że skoro mam wrócić tu za trzy dni, to warto te trzy dni przeżyć uważnie. Nie po to, by zasłużyć na sens — tylko po to, by go nie przegapić. ♦

Jerzy Grupiński**Inny dzień – inna noc**

Topola przędła białe puchy
 Nocą morze biegło w pianie
 sztormem ku gwiazdom
 i konstelacje – w Łabędzie Deneb
 Wega w Lutni – powtarzały się jak fale
 W Orle świecił Altair

Ale nie
 Nikt nie chce powrócić
 ani ty w siwej modnej peruce
 ani twój młody mąż
 w zbyt dużych okularach
 przystrzyżony do skóry
 krótko na ćwierć zapalki
 Syn na plaży jak w przypowieści Augustyna
 nie przelewa morza w dołek
 Nie ucieka z krzykiem przed falą
 wprost w nasze ramiona

Ten sam port – inna noc
 Na promenadzie
 gumowe zamki żywe rzeźby i maski
 i monstrum na szczudłach
 A w telewizorze
 patriarcha Wszechrusi – Cyryl przyjechał
 w ciężkim od aniołów ornacie
 i z wąską świeczką w ręce
 Złoty cały jak cud – ikona wyjęta
 z gablot muzeum ateizmu i religii
 albo wprost z kartotek NKWD

Na próżno Paweł przy ognisku
 rozciągał akordeon
 Chrypieliśmy na głosy romanse
 puszczaaliśmy na morze czerwone lampiony
 i krzyczeliśmy w gwiazdy

Jacek Jaszczuk**Głagolica**

szepczą do mnie wasze gesty
 przez rdzę zawiasów
 głowy papiaków

jakby w sąsiednim życiu
 brzdęk stali u kowala
 w skręcone słowa zakuwał młot

jak echo
 oparte o pień za lasem
 zanim piła przetnie w nim zmierzch

a pomiędzy jest jaśmin
 rośnie i więdnie
 i ćwierkanie ptaków niecierpliwie ustaje

jak martwe powietrze
 na stłuczonym gzymsie
 z którego do żywych
 skaczą wciąż zjawy gołębi

Dawid Kalinowski**w ogrodzie**

po obiedzie
 zasnąłem w ogrodzie

obudziła mnie
 dopiero mucha
 chodząca po nosie

wnoszę do domu
 suchą trawę na bluzie
 ślady w całym domu

w nocy w ciepłym łóżku
 nie zasypiam

Jerzy Grupiński**Nokturn z Arturem i Dziewczynką**

Nikt o tym –
 nawet ty Artur nie wiesz
 Cud Dziewczynka już wyszła
 z twojej opowieści
 I dawno jej tam nie ma
 Idzie przez mój wiersz
 Ręce na pierśiach
 na czerwonej bluzeczce
 Nie zna nie pamięta swe imię
 Zielony ptak prostuje skrzydła
 w jej gładkich plecach
 Milkną chmury i dzwony monasteru
 ścieżka myli się i wraca
 Artur ty masz talent
 tylko ty ją uratujesz
 wszystko opiszesz
 i wróci się nam Cud Dziewczynka

Krok jeszcze Jeszcze chwila
 i wejdzie w ogród nocy
 Już dwie trybady
 Ginewra – żona nasza niewierna
 i Karlica jej kochanka – jabłonka
 myją ręce w nocnej rosie
 trą o niską gałąź łono
 I ta trzecia która losy rzuca – Safonka
 Ginewra zerwie zgniłe jabłka planet
 a są to błady Jowisz i trupi Saturn
 Krwią miesięczną zapisze na liściu Imię
 I wyrosną zęby Dziewczyńce

To jest ten czas
 Niski promień krwawi malinę
 Bliska jest noc – pełnia
 Na Księżycu ruda lisia czapa
 Otwierają się ropieją rany
 i puchnie twarz planety
 Właśnie jest ten czas
 w węzeł ściągają się drogi
 gra i obraca się szerszeni gniazdo
 A gdy głośno zawołać Imię
 zmać się skrwawi woda w studni
 wysoko w Księżyc odpowie wilczyca

Adam Michalak**Boże ciało**

W czwartek droga wychodzi
 naprzeciw

wschodzą plony ponad światem
 i czasem flaga królestwa
 w koronie akacji
 spojrzenia wiją gniazda

płatki kwiatów malują
 postacie zatopione w majestacie
 Chrystus Pan trzyma matkę
 za rękę ukojeniem dziecka

w oknach wysrebrzonych
 kroplami modlitwy
 Niepokalana wyprasza łaski
 święci Pan Bóg zastępów

Jolanta Baziak**To tylko...**

możesz być spokojna

Szalona podróż
 w tobie
 przez lata świetlne

spójrz
 wyblysnął ptak
 wiatr zakwilił

my
 spadkobiercy nocnych przebudzeń
 świtów głębokich
 sił nadprzyrodzonych
 zbiegów okoliczności
 niezbadanych przeznaczeń

o Opatrzności
 jak mocny sznur
 to tylko my... „
 czy to już pełnia czasu?

Paweł Kuszczynski

Coraz częściej chcę mieć twarz
 chłopca powracającego
 z majowego nabożeństwa,
 być w śpiewie czasu,
 który pozwalał pozostać
 sobą dla siebie,
 otwierać myśli czyste.

Wraca tęsknota do niedojrzałości
 naznaczonej pięknem,
 do tej ciszy przepełnionej zachętą,
 gdy los nie oddalał się od życia.
 Czy nie za wiele pozwałam pamięci?
 Znajduję odpowiedź:
 Dzieciństwo do ostatniej godziny
 nie przestanie kołysać mej duszy.

Igor Frender

Zabawki

(Półmrok. Kropi deszcz. JAN i BASIA siedzą przy szeroko otwartym oknie. Na parapecie stoi paprotka i pełna niedopałków popielniczka. Słychać odległe cykanie świerszczy, przerywane stukaniem kropli o blaszany parapet.)

JAN: Mucha, weź, weź tego papierosa.

BASIA *(z lekkim zrezygnowaniem)*

No dobrze, dobrze, gaszę już. Podaj popielniczkę.

JAN: Stoi koło paprotki.

(BASIA zgniata papierosa, patrząc w okno)

JAN: I co? Coś się działo?

BASIA: Nic, cisza. Patrzę i cały czas cisza. Zaczęło kropić.

JAN *(opierając łokieć o parapet)*

To może nie ma sensu tu siedzieć. Przy tym oknie. Chodź, obejrzymy jakiś film. Nie?

BASIA: Będę czekać. Zaraz przestanie padać i zobaczysz.

(Chwila milczenia. Krople uderzają o parapet.)

JAN: Nic nie zobaczysz, mówię ci, nie dzisiaj.

BASIA: Ale kiedy mówiła, że ma być? Dzisiaj wieczorem, jak się ściemni? A już jest dwudziesta druga, zobacz. Pojawiły się pierwsze gwiazdy.

JAN *(z niedowierzaniem, szukając czegoś po kieszeniach)*

Nie no, ja w to nie wierzę, tam... To jest jakiś... Nie no, to jest nieprawdziwe, bez sensu. Daj spokój, no. Gdzie masz papierosy? Też zapalę.

BASIA: Ale ja zgasiłam. A ty cały czas: nie, nie, nie...

JAN: Daj, zapalę.

(JAN wstaje, zapala lampkę przy stole, wraca do okna, chichocze nerwowo.)

JAN: Zapalone.

BASIA: Zgaś, bo gorzej widać... O! Zobacz! Jest! No zgaś!

(BASIA podrywa się, patrzy w mrok. JAN szybko gasi lampkę.)

JAN: Gdzie?

BASIA: No tam! Idzie, między drzewami.

(Za ciemnych pni wylania się postać. Przemyka w półmroku.)

JAN: No faktycznie. Listonosz. *(po cichu, z triumfem)* Miałas rację. To jest listonosz.

(BASIA uśmiecha się ironicznie. Deszcz ustaje.)

BASIA: No a jak, jeśli nie tak!

(W tle ciche cykanie świerszczy, narastające wraz z pauszami.)

JAN: Co on robi o tej porze?

BASIA: Jak to, co? Janku, roznosi listy.

JAN: Ale jak, tak w nocy? Nie no, nie.

BASIA: No właśnie, to twoje „nie, no nie”. Uwierz. Zobacz. Idzie?

JAN: No idzie.

BASIA: Listonosz?

JAN: No listonosz.

BASIA: Dobrze widać. Księżyc jest prawie zielony.

JAN: Co? Księżyc jest zielony? Nie. No nie. Jest jasny. Żółty.

BASIA: Niech będzie żółto-zielony. Dobrze?

JAN: Niech będzie. Najważniejsze, że dobrze widać. Nie?

BASIA: O, popatrz. Skręca. Pewnie idzie do sąsiada.

JAN: Ale ich tam już nie ma. Wyprowadzili się.

BASIA: Skąd wiesz?

JAN: No słyszałem. Ciemno u nich.

BASIA: Dziwna sprawa, powiem ci. Tak nagle? Wyprowadzili się?

JAN: O, widzisz. Życie zaskakuje.

BASIA: No. Niech ci będzie. *(Nagle słychać szmer i pojedyncze szczeknięcia psa.)*

BASIA: O! O! Patrz! Teraz idzie ksiądz.

(Ksiądz idzie wolniej od listonosza, szura nogami, wygląda dziwnie.)

JAN: Nie no... nie wierzę. Ksiądz. Co tu się dzieje? Co tu się w ogóle dzieje? Dziwne, nie?

BASIA: Wcale nie, znaczy tak. Choć jego jeszcze rozumiem, może idzie gdzieś tam, do kogoś. Z modlitwą. Ważna sprawa.

JAN: Właśnie. To wszystko jest takie dziwne. Listonosz, ksiądz... a kto będzie następny?

BASIA: Tego nie wiem. Nie powiedziała mi.

JAN: Gruby ten ksiądz. Zobacz, ledwo idzie. Zaraz pęknie.

(krótki śmiech)

BASIA: Cicho, bo dzieci obudzisz!

JAN: A skąd wiesz, że śpią? Co? Nie wydaje mi się.

BASIA: Wyłącz w sobie to ciągle „nie”! I nalej mi wody. Tak?

JAN: Tak. Z cukrem?

BASIA: Przestań. Daj tę wodę.

(BASIA pije. Chwila napięcia.)

JAN: Nie no, nie wyrobię... a ten co tu robi? Widzisz, Mucha?!

BASIA *(odkłada szklankę)*

Kurczę... żołnierz!

JAN: Z karabinem. Trochę strasznie się robi. Nie? Chyba sobie piwo otworzę!

BASIA: Po wczorajszym balowaniu? Nawet nie chcę tego widzieć! Popatrz, stanął. Macha do mnie ręką.

JAN: To mu odmachnij!

BASIA: Poszedł sobie.

JAN: A kto ci powiedział o tych dziwnych nocnych spacerach?

BASIA: Krycha. Sama widziała.

JAN: No tak, ta to nie ma co robić i całe dnie i nocie siedzi w oknie, stara jest!

„Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczta Polska za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informacje, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Nr konta Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
03124011831111001002291025

Instytut Wydawniczy
„Świadectwo”

oferuje usługi edytorskie

w zakresie:

- ☐ redagowanie,
- ☐ korekta,
- ☐ opracowanie graficzne,
- ☐ skład komputerowy,
- ☐ druk

książek oraz innych tekstów literackich, publicystycznych, naukowych i urzędowych.

www.akant.org

BASIA: A co ma robić? Nikt jej nie odwiedza, ja czasami wpadnę i z nią pogadam.

JAN: Chyba monologu wysłuchujesz, tych jej mądrości życiowych.

BASIA: A daj spokój, biedna kobieta..., ale na swój sposób ją lubię.

JAN: Dokąd poszedł ten wojak?

BASIA: Zniknął za rogiem, ale cudowna cisza...

JAN: Tak. I te świerszcze.

JAN: Nie zauważyłem, jak poszedł.

BASIA: Nie dziwię się! Nie jesteś specjalnie spostrzegawczy.

JAN: Nie, wcale nie. Jak na czymś mi zależy, to widzę i wiem.

BASIA: Ostatnio na niewielu rzeczach i osobach ci zależy. Nawet nie odwiedzasz matki.

JAN: Nie odwiedzam, bo nie mam czasu.

(Pauza.)

JAN: O, kurczę... nie no, nie wyrobię. Znowu ktoś idzie z tego lasu.

(Podchodzi do lodówki.)

BASIA: Z tym piwkiem to sobie daj spokój! Kto to może być? Chłopiec?

JAN: Dobrze, piwka dzisiaj nie! Wygląda mi na... nie no, to nie może być!

BASIA: Wygląda jak zabawka. Wielka zabawka!

JAN: Nie wiem... jakiś dziwny. Porusza się też dziwnie. Tak szczerze mówiąc, trudno stwierdzić, o co tu chodzi. Nie rozumiem tego. Najpierw listonosz. Potem ksiądz. Następnie żołnierz. Teraz jakiś chłopiec.

BASIA: No o tym mówiła właśnie Kryśka. Ale ostatnio jej nie widziałam. Zresztą, zauważyłeś? Coraz więcej ludzi wyprowadziło się z tego domu. Nie wiem... chyba jesteśmy tu już ostatnią rodziną.

JAN: Nie przesadzaj. Chociaż... rzadko... trudno stwierdzić. Nie widuję w ogóle naszych sąsiadów.

BASIA: Nie zastanawia cię to? Bo mnie tak.

JAN: A mnie niespecjalnie.

(W tym momencie wyraźne skrzypnięcie drzwi. W progu pojawia się mały, jedenastoletni chłopiec, trzymający pudełko.)

BASIA: Dlaczego nie śpisz? Marcinku, co to jest? Już powinieneś dawno spać.

JAN: A co z Kasią? Śpi?

CHŁOPIEC: Tak, tak, ona śpi. A ja nie mogę spać, mamuś. No nie mogę. Nie wiem, dlaczego. Nie mogę... po prostu nie mogę spać.

BASIA *(pochylając się)*

A co masz w tym pudełku?

CHŁOPIEC: Zabawki.

JAN: Jakie zabawki?

CHŁOPIEC: Takie, tatusiu... wydrukowały się.

BASIA *(zdziwiona)*
Wydrukowały się?

(CHŁOPIEC otwiera pudełko i wyciąga małe figurki.)

CHŁOPIEC: Tu mam listonosza. Tu mam księdza.

Tu mam żołnierzyka. A to ja!

(z a w i e s z a g ł o s)
I brakuje mi... mamy i taty. Czyli was. No i pieska.

(W oddali narasta szczekanie psa.) ♦

Bronisław Pastuszewski

Znad Dniepru nad Brdę

Galina Prilipko (Галина Прилпко) urodziła się w 1965 r. w miejscowości Kucza nad rzeką Kalius w rejonie Nowa Uszycia na południu obwodu chmielnickiego. Dziadek i babcia od strony ojca oraz dziadek Paweł i babcia Jefrosija od strony matki pochodzili z tamtych okolic. Rodzice Galiny – ojciec Wołodymyr i matka Ewdokija z rodziną na początku lat 70. tych przeprowadzili się do Zaporozia. Jest to duże ponad półmilionowe miasto przemysłowe leżące nad Dnieprem na południowo – wschodniej Ukrainie. Założone pod koniec XVIII w., prawa miejskie uzyskała na początku wieku następnego. W tej okolicy rzeka Dniepr kieruje się na zachód. W obrębie miasta, pośrodku rzeki znajduje się duża wyspa Hortica będąca pewną atrakcją turystyczną. W Zaporoziu działa wiele zakładów przemysłowych w tym fabryka samochodów, zakłady metalurgiczne (huta) i chemiczne. Matka Galiny pracowała w fabryce samochodów na produkcji a potem w zakładach metalurgicznych w odlewni stopów żelaza.

Ojciec jej także był zatrudniony w tym samym zakładzie, jako ładowacz. Galina ukończyła techniczną szkołę średnią, specjalność kolejnictwo. Przez ponad dwadzieścia lat pracowała przy obsłudze pociągów jako konduktor, kontroler i kierownik. Jeździła na bardzo różnych trasach pociągami dalekobieżnymi a także lokalnymi. Poza tym interesowała się

wyszywaniem i haftowaniem oraz wykonywała wiele wyszywanek o różnej tematyce i skomplikowanych wzorach. Była zamężna z Walerijem. Galina jest wyznania prawosławnego. Ma dwóch synów: Wadima i Witalija. Pierwszy pracuje w Niemczech, a drugi w Bydgoszczy dokąd przybył jeszcze



przed 2022 rokiem i jest zatrudniony w branży budowlanej. Gdy Rosja 24 lutego 2022 r. zaatakowała zbrojnie Ukrainę w Zaporoziu i okolicach zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Wojska rosyjskie dotarły aż do wschodnich krańców miasta. Naloty bombowe, spadające w różnych punktach rakiety potęgowały grozę.

– "Ciągłe alarmy, wycie syren i wielka niepewność, strach przed okupantem, dochodzące

Uchodźcy, losy, decyzje

wiadomości o mordach na Ukraińcach to był powód aby uciekać. Miasto się wyludniało."

Na ulicach robiło się pusto. Po około dwóch tygodniach od rozpoczęcia rosyjskiej agresji po rodzinnej naradzie Galina ze swoją matką i wnukiem Artemem (syn Wadima) zdecydowali się na wyjazd na zachód. W ciągu jednego dnia spakowali niezbędne rzeczy, to co mogli i wsiedli do zatłoczonego pociągu i dotarli Lwowa. - Przed laty Galina jeździła tą trasą jako konduktorka. W Zaporoziu pozostało mieszkanie w bloku w prawobrzeżnej części miasta. - Ze Lwowa jadąc w toku autobusem przybyli do Krakowa. Granicę z Polską przekroczyli 9 marca. Na trasie swej ucieczki napotkali pomocnych polskich wolontariuszy przy granicy. Zapewniali oni ukraińskim uchodźcom jedzenie, picie, potrzebną odzież. *„Byliśmy bardzo wdzięczni, że nas tak przyjmowali”.* Z Krakowa pojechali dalej pociągiem do Bydgoszczy.

Tutaj syn Witalij pomógł Galinie, jej matce i wnukowi wynająć mieszkanie. Galina rozpoczęła pracę jako ogrodnik. *„Bydgoszcz podoba mi się. Jest tu wiele starych, ładnych kamienic, jakich nie ma w Zaporoziu.”* Wnuk Artem uczęszcza do technikum za specjalnością logistyka. Interesuje się sportami walki. Galina mówi, że wołałaby zostać w Polsce, bo tu znajduje się jej najbliższa rodzina. ♦

Kazimierz Kyrz Jr

Żmudny proces dojrzewania

punk Ogito kontestuje młodość
a ona śmieje mu się w twarz nie całkiem prosto
pryskając kropelkami śliny i wykrzykując
że postradany rozum trudno odzyskać
że zazdrość to chciwość do entej potęgi

Nie

punk Ogito spogląda ze współczuciem
na niewolników
których smutne życie jest
mierzone ilością orgazmów
i zastanawia się
czy można być jeszcze bardziej
samotnym

Zagwozdka

w głowie niewiele
i coraz mniej

niemal z każdym oddechem
obracamy się w niwecz w zaprzaństwo

zużywamy się
choć przecież jak pewna część ciała
mieliśmy się nie
wymydlić

Angelika Szelałowska – Mironiuk

Patosonecik

Cudnie było się z tobą wyniszczać,
Znienacka przywalić sobie słowami,
Okładać bardzo bierną agresją,
Zatruwać gęstymi jak rzyg toksynami.

Brzydziliśmy się sobą jak nigdy nikt -
choć jak wszyscy chcieliśmy być zdrowi,
symulować zwyczajność i żyć nie odstając:
mieć beżowe dzieci wprost z nudnej alkowy.

Miło było cię poznać. Jeszcze milej – podziobać.
Rozkosznie jak pies wracać i dać się przyjmować.
Świat z tobą to zgorzel, bez ciebie – brudna szmata.

Będziemy grać w patoberka: ganiać się i uciekać,
karmić się azbestem i wspólnie nurzać w ściekach,
aż ostatecznie rozwiążemy kwestię tego świata.

Michał Borkowski

projekt mojego piekła

gdybym miał stworzyć miejsce zsyłki
zabawić się w architekta duchowych tortur
zacząłbym od wędzarni w której zamontowałbym grube haki
na solidnych gwintach by powiesić nieczułych
dyndające perpetuum mobile kamiennych serc

a reszta to literatura.

Sandra Kocha

Para

Serce tyka
mgła rozkłada przede mną skrzydła
zegar milczy
cisza wiruje w obłokach

w parze para się rozpala
w parze rażniej

w parze

krew trzepocze
zegar szemrze

co to będzie?
co to będzie?

prze
znaczenie

PARA

IRONIE

Iwona Orzechowska-Wiater

Pełnia

Księżyc ma dzisiaj nieprzyzwoicie
jaskrawy tupecik - zagląda do łóżek
swoich petentów. Co przyszli po sny,
a wcale nie śpią.

Oślepieni na gorącym uczynku
policyjnym szperaczem. Stój bo strzelam!

Albo dobra, leż.
Sami już nie wiedzą
czy to oni skradli komuś czy
im skradziono ich własny sen.

Sia ła ba ba mak
Sia ła ba ba mak
Sia ła ba ba mak

Powtarzaj tę mantrę do skutku.
Ja już idę

Natalia Grudzień

Obserwujemy gwałtowny wzrost

zachorowań na dystans
pan A. wyobraża sobie dotyk pani B.
rozmawiając przez telefon kreśli jej
biodra rejestruje kolor oczu o odcień już nie pyta
trzymając ją w odległości
stu kilometrów jej głos jest na wyciągnięcie ręki
próbując namierzyć usta by skraść pocałunek

do ekranu trafili przypadkiem
za chwilę zaczną wibrować

Paweł Prusko

Galeria krakowska

Ktoś mi powiedział, że chyba tylko nieatrakcyjni
ludzie mogą znaleźć prawdziwą miłość.
Czy był atrakcyjny? Nie wiem, trudno powiedzieć.

usłyszał bo akurat szła reklama
i odruchowo przyduśił

zapytała telefon ale co się stało
potem powtarzała imię
płakała
eksponując każdą zmarszczkę

on siedział
milczał
przeciwległa sofa
eksponowany lakier elektrycznego renault-a

dopijał cicho butelkowane latte
czekając aż dziewczyna kupi koreańskie kremy
w Rossmannie

(szczęśliwie zerwali)

Jacek Jaszczuk**List z emigracji LXXVII**

1.
Dmuchawce płyną bezwładnie w powietrzu.
Mijam balustrady, pozostałości schodów donikał.
Dopokąd droga, na której śnieżnobiałe gęsi
dzioby zanurzają w półsennym korycie nieba.
2.
Dźwięki dawnych pastorałek stroją się w uszach,
jakbym klasztorny mur przeskoczył przez trawers,
za którym wszyscy święci wysyłają uśmiechy.
Zamiast sycić się pyłem, z którego formuje mnie czas,
rdza wykuta z napiętych karwaszy udaje moją śmierć.
3.
Obok zwierzęta sierścią wydrapaną z niepamięci,
stroją się w trzask i bielmo pochówku,
piszczałkami przywołując zmęczony taniec wikinga.
Tylko nad śniętym oceanem wiatr rozrzuca zapomnienie,
zakłeta mewa staje się spektaklem,
w którym morszczyń brunatnieje w drodze do wieczności.

Jakub Fornagiel

Niewysłowione myśli podgryzają czaszkę
Przyjaciele już śpią za oceanem
Gdy kończę zmianę
Spłoszone zwierzę w obcej puszczy
Śledzi wielki wóz
Tak dobrze widoczny z domu rodzinnego
Zainwestowałem zbyt wielki kapitał
Efekt włożonych kosztów
Popchnął do skarpy
Odbijam się w obojętnym spojrzeniu
Na własne życzenie
Oddałem kawałek duszy
I nie umiem podważyć status quo
Istniejącego tylko w mojej głowie
Akcje runęły na szyję
A ja ukryłem się na skraju niczego
I naprawdę nie wiem
Jak wytrzymałem tak długo na bezdrożu

Marcin Liszkiewicz

Kształtne amerykańskie werandy
rozciągnięte swetry na pięknych ciałach
żon polityków dwieście czternaście foto
ramek uczuć gorąca
fundamentalistyczna krew
w poniedziałki podjeżdża limuzyna
zabiera niepełnoletni splin
twarz przyproszona kwasem
L – askorbinowym kibić jak piorun
Wygięty flesz x – Ray.
Kozina i raki po takim rosole
sir Kirk wyciągnął złoto od dam
dojrzałe sponsorki synagogi uratujcie
VIP źdźbło.

Milica Jeftimijević Lilić**We mnie dojrzewa pieśń***Konstantynopolowi*

Święta Zofia, perła przemieniona,
Równie potężna, wszechczasowa, woła mnie.
Stambuł, Konstantynopol czy Bosfor,
Czasu przepaść
Co łamie imperia, zmienia mundury,
Zmienia wiary, zabiera mnie mocno pod swoje skrzydła.
Krzyk piękna w głosie mewy
Co rozprzestrzenia się po niebie
Dotyka mnie
Jak słoneczny, rozgorzały strumień
Nad Hagią Sophią milczenie dusz ukrzyżowanych.
Dana przez Bożą Opatrzność
Niech każdy to zrozumie i przyjmie
Przemienić wszystko, napęlić polotem,
Nada sens
Mocy, która nie przemija,
Zmienia imię i pozostaje ta sama, urzekająca,
Piękno niezniszczalne, wszechprzenikające,
Ponadczasowe!
Rdzeń trwania wylania się z bitew wszystkich
Zwielokrotniony, bardziej harmonijny, bardziej różnorodny
Od niepamiętnych czasów, przez wielu wyśniony,
We mnie dojrzewa pieśń wieków tutaj śpiewana.

Cud życia potwierdził się,
Niech przemówi pierwotność!
Konstantynopolu, twoja imperialna moc nie słabnie
Nieważne, w jakim języku się mówi, jest to zrozumiałe
Jej pasja jest ta sama, ogień, który pochłania wszystko
Fale ją niosą, sprawiają, że jest widoczna
Od niej ptaki stają się nieme, które odlatują
Mocą tą wzniesione.
We mnie dojrzewa pieśń którą wyczuwasz
W swojej krwi na zawsze mną przesiąknięta
Pozostałością snów z przeszłości, wielowiekowe echo
Co łączy niespoiste, nierozłączne.
We mnie dojrzewa pieśń, którą wszyscy usłyszą!

Zabrzmią w niej wszystkie tłumione cisy
Wszystko co niespoiste, co sercem połączyło się
Jak stłumiony dźwięk dzwonów
Czy przyciszone echo muezzina
Modlitwy i przekleństwa wzrosły wraz z nim
Pozostały po zapisie z ubiegłego stulecia.

We mnie dojrzewa pieśń która ocala
Najwyższe pragnienia,
Wszystkie możliwe i niemożliwe pojednania
Na brzegach przeszłości, której kwiaty wciąż trwają.

Pędy te przybierają nowe formy
Bogatsze o przeszłe cierpienia
Na okrucinach życia, które wciąż płonie wzmacniając
Każdy czerpie z tego dostatku,
Znów wzruszająco zapiera dech w piersiach
Przed tą nierozumną pierwotną siłą
We mnie dojrzewa pieśń, tutaj rozkwitła,
Cudza i moja zarazem.

Przekład z języka serbskiego: **Olga Lalić-Krowicka**

Stefan Pastuszewski

Pieśni Petrarki

L'amore mi persegue sempre e il bene conduce...

Miłość wciąż gna mnie, a dobro prowadzi,
Bo nie jest tylko moją wiosną...
Choć czasem nocą – przychodzi się wadzić
Z Bogiem, co późno szczęście dał mi poznać.

Nie jest szaleństwem to, co między nami,
Choć nie podlega żadnym ziemskim prawom:
Dotknięcie Twoich warg to nocy aksamit,
A uśmiech, słowo – są słoneczną lawą.

Ciepłe zefiry obmywają skronie,
W łonie każdego dnia pulsuje życie,
Za węglem zmroku nie czatuje koniec.

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery,
Dziesiąty czerwca, gdy słońce w zenicie,
Wzleciałem w górę, odrzuciłem stery...

Tu sei... Io non ci sono già da un mese...

Ty jesteś. Mnie już nie ma od miesiąca.
Dłużej... Usiadłem ptakiem – słuchasz śpiewu...
Cisza... Zakryłem cieniem płomień słońca –
Płyniesz... W głąb nocy... I nie bluźnisz niebu.

Jestem dla Ciebie czasem w każdej dobie,
Porządkiem rzeczy, pewną odpowiedzią.
Masz mnie w spojrzeniu, uśmiechu i słowie.
Sny mnie doznają, myśli o mnie wiedzą.

Musiałem jechać, by nie przelać pełni,
Bo chwila nasza chciała sięgać dalej...
Musiałem odejść, by złota nie szernić...

Bo kiedy dobro chce być dobrem lepszym,
To droga wiedzie wprost do rzeczy malej;
Z życia do śmierci, z dotyku do wierszy...

– Buongiorno – dici. E importante per te...

– Dzień dobry – mówisz. To dla ciebie ważne
Zakłęcie czasu, który znów się staje.
Wszystko, co robisz, robisz dziś uważnie.
A dla mnie maj ten tylko tamtym majem.

Kiedy raz pierwszy dotknąłem twej dłoni
I zobaczyłem coś więcej w twoich oczach,
Jakbyś czekała aż sługa się skłoni,
Jakbyś mnie śniła w tych beze mnie nocach.

Mówię dzień dobry, no bo tak wypada
I obok ciebie do wspólnych spraw siadam,
Choć widzę pazia u stóp swej królowej.

Czas nie jest równy. Są też lepsze czasy.
Dzień dobry wcale tamtych dni nie zgasił
Nie zawsze lepsze jest to, co jest nowe.

Nella chiesas catto l'una...

Godzina pierwsza w kościele wybiła.
Ksiądz wszedł z Chrystusem, Ty siadłaś przy ścianie.
Mnie tam nie było, złego losu siła
W dał mnie uniosła, w wieczne pożegnanie.

Chrystus też człowiek, więc usiadł przy Tobie
Blaskiem witraży ły w uśmiech przemieniał.
Ksiądz coś mamrotał, a On w ręce obie
Ujął Twe skronie w chwilę ukojenia.

Chwila to więcej niż wieczność... Ta chwila
Przemiany wody w wino, śmierci w życie
I mnie objęła, i usiadłem przy Was.

Tak połączeni wiarą w tryumf dobra,
Z głębin rozpacz – na radości szczycie –
Jesteśmy razem, choć każde z osobna.

Nella sala, le colonne come nel tempio di Venere...

W sali kolumny jak w Wenus świątyni
Albo w katedrze, lecz bez prezbiterium.
Szliśmy ku sobie, miłości pielgrzymi,
By mszę człowieczą sami w sobie spełnić.

Siedzę w ruinach uspiętego domu
Myślam stawiam wyniosłe kolumny.
Chcę je powiedzieć, ale nie mam komu;
Świat zatrzaśnięty niczym wieko trumny.

Bóg dał mi pióro, ale szczęście zamknął.
Nikt nie jest godzien otrzymać wszystkiego.
Aby coś było, musi czegoś braknąć.

Czeka mnie sława, lecz ja sławy nie chcę!
Tyś dobry, Panie. Zrozum kalekiego
I daj mu chwilę. Zabierz życie wieczne.

Vuoi che le mie poesie ti facciano piangere...

Chcesz moje wiersze, aby płakać
Kiedy odejdę tak czy owak,
Siedzieć przy oknie gdzieś po latach,
Aby ze łzami splotać słowa.

Jeśli odmawiać chcesz różaniec
To porzuć słowa, spójrz przez okno,
Jak kwiaty słońcem roześmiane
Teraz na deszczu w smutku mokną.

Po chwili znów zatoną w słońcu
I znów zapłaczą, może zwiędną...
Wiosną zakwitną takie same.

To co powstało nie ma końca.
Co między nami jest na pewno
Wiecznie wiruje życia taniec.

Zdzisław Andrzej Zdebski

Mój Paryż (1)

Co by nie powiedzieć ,co by nie napisać o Paryżu ,to zawsze będzie o wiele za mało. To wspaniałe, cudowne ,a nawet czarujące miasto, nieustannie zachwycia i oszałamia od ponad 2000 lat. Przebywałem tu dwukrotnie, podobnie jak Juliusz Cezar ,choć ,przysięgam ,nie wspólnego nigdy z Nim nie miałem. Pierwszy raz trafiłem do Paryża latem 1968 roku ,i to na bardzo krótko, towarzysząc w podróży memu wujowi Marianowi Irzykowskiemu ,który udawał się w odwiedziny do swego młodszego brata Zbigniewa ,mieszkającego od wojny w okolicach Lyon ,a drugi raz późną jesienią 1987 roku.

Z Katowic wyruszam 20 listopada w mglisty i zimny piątkowy poranek ,pociągiem ekspresowym „Górnik” o 6,20 ,by dotrzeć do Warszawy Centralnej o godzinie 9,15.- Wcale nieźle ,planowo – pomyślałem z zadowoleniem. Walizkę pozostawiam w przechowalni bagażu nr 1.Samolot do Paryża z Okęcia odlatuje dopiero po 14. Trzeba jakoś ten czas zagospodarować ,a zatem ruszam Jerozolimskimi ,na rondzie skręcam w Marszałkowską ,siadam przy stoliku w ładnej kawiarence na pięterku .Zamawiam „małą czarną” ,która wyraźnie podnosi moje samopoczucie. Piszę szybko parę słów do mojej Mamy i dołączam kartkę na mięso, którą zapomniałem jej zostawić. Stan wojenny zamknięto cztery lata temu ,ale zaopatrzenie pozostało beznadziejne. Zabieram mój bagaż z dworca i wsiam do autobusu nr 175 ,by po pół godzinnej jeździe, znaleźć się na dworcu linii LOT. Niewyraźna zapowiedź miejsca odprawy samolotu do Paryża powoduje ,że biegam chaotycznie od stanowiska do stanowiska ,na szczęście w porę udaje mi się opanować sytuację i znaleźć to właściwe. Po odprawie z wielkim trudem zmieściłem się w autobusie dowożącym do samolotu. TU-154 stoi. Z niewielkim opóźnieniem kulujemy na pas startowy. Zwaliste ,ciężkie chmury i deszcz, ostry start ,i samolot spokojnie wzbija się w powietrze ,przenikamy przez chmury a przed nami otwiera się wspaniały, słoneczny i radosny świat.

Lecimy z Warszawy nad Pragę I Frankfurtem do Paryża. Obok mnie siedzi jakiś tęgą Francuz, ktoś może powracający z delegacji handlowej; stewardesy podają smakowity obiad i kawę. Niedługo lądowanie a tu znów gęste chmury i nic nie widać .Zapowiadają tylko 8 stopni Celsjusza w Paryżu. Lądujemy na Orly Sud. W hallu widzę wujka machającego przyjaźnie ręką. Mkniemy samochodem ulicami południowej strony miasta, jeszcze przed osiemnastą jesteśmy w przytulnym mieszkaniu przy ulicy Du long .Niewysoka, dwukondygnacyjna kamienica z końca XIX wieku, odgradzona od ulicy solidnym płotem z kutego żelaza .Po kolacji idziemy na spacer rue D'Alesia i Avenue Du Leclerc, pełni nadziei na ciekawe doznania i przeżycia . Jest sobota 21 listopada ,pogodny paryski poranek. Rzucam się w wir estetycznych wrażeń ,których tu nie brakuje : jedziemy metrem ze stacji Alesia do stacji Saint Michel a tam słynna katedra Notre-Dame z wieloma ołtarzami ,kaplicami i muzeum –skarbcem katedralnym. Gra światła we wnętrzu jest wprost niesamowita, tworząc niezwykły klimat. Architektura wnętrza

sakralnych jest zagadnieniem samym w sobie osobiwym.

Wędrowka po Placu Vendome

W niedzielę od samego rana pada. Zimno ,bardzo zimno. Jestem zaskoczony ,wszak bardziej tu marzną ,aniżeli w Polsce o tej porze roku. Może to zmiana klimatu. Trudno powiedzieć .Wuj obudził mnie już o piątej rano zaniepokojony sprawami rodzinnymi ,a co za tym idzie ,koniecznością wyjazdu do domu w Saint Etienne du Bois. Sądzę ,że sprawa ma raczej podłoże finansowe ,ekonomiczne. Zbyszek, pomimo siedemdziesięciu przeszło lat życia ,lekarz weterynarii w stanie spoczynku, jest bardzo niezależny, a przy tym dość apodyktyczny, ale solidny i przewidywalny. Młodsza znacznie żona ,no i trójka dorastających dzieci. Problemy rodzą się jak owe „grzyby po deszczu”. Szybko zjadł coś i zaraz pojechał do odległego o ponad 400 kilometrów domu ,ale ja musiałem sobie trochę odpocząć ,i dopiero o dziewiątej ruszyłem na zwiedzanie w rytmie słynnej piosenki Montanda „A Paris” : „Alesia”- „Jardin Des Tuileries”,dalej przez rue de Rivoli do Place Vendome .Jest tam słynny ,luksusowy hotel Ritz,a po przeciwnej stronie tegoż hotelu, wpada mi w oczy tablica na frontonie kamienicy numer 12, zaznaczająca ,że tu mieszkał i zakończył swój krótki żywot, Fryderyk Chopin.

Idąc w kierunku ulicy Saint Honore', trafiam do Kościoła Polskiego, przy którym funkcjonuje od 150 lat Misja Polska .To kościół pamiętający czas emigracji 1863 roku . Po mszy zaglądam do sali emigracyjnej ,a tam sympatyczne spotkanie z pachnącymi pączkami z okazji jubileuszu.

Każdy rodak może tutaj liczyć na wsparcie, i to nie tylko duchowe. Rozmawiam z jegomościem, który przebywa tu około trzydziestu lat. Jest on, w jakimś sensie, reliktem gomulkówskich niepokojów i nadziei w Polsce, począwszy od fascynującego roku 1956 aż po dramatyzm 1968 roku ,który i na mojej skromnej osobie pozostawił ostre ślady. Władzio jest bardzo miły i bardzo ciepły, niezwykle wyciszony. Polubiłem go od razu. – Niesamowicie, to ty Zdzichu uczestniczyłeś w październiku 1956 w tym marszu ...

poparcia studentów Politechniki Śląskiej w Gliwicach na rzecz Powstania Węgierskiego – wyrzucił z siebie jednym tchem. – No, to maszerowaliśmy może gdzieś tam obok siebie...! - Tak doskonale pamiętam, Władku ,ten pochód studenckiej braci z przyszłych wydziałów, z Placu Krakowskiego ,przez ulicę Częstochowską ,przez wiadukt... Oddawaliśmy krew ... Posmutnieliśmy obaj i uściskaliśmy się serdecznie na pożegnanie. Jakże nam potrzebne są wspólne wspomnienia, nawet bardzo trudne, które wydobywają z nas to co niewątpliwie najwspanialsze i najważniejsze – owo dobre, zwykłe i proste człowieczeństwo ,humanitaryzm. Wracam Rivoli ,która wprost tonie w feerii różnokolorowych światła . Jadę metrem do Bastylli, aby po przesiadce w Tuileries dotrzeć do Chatellet, no i linią czwórki wyładować na stacji metra Alesia, skąd tylko parę kroków do mieszkania.

Wiktor Hugo

Do Paryża przyjechałem niemalże świeżo po lekturze prawie 1000 stronicowej książki

Andre' Maurois : „Olimpio czyli życie Wiktora Hugo”. Byłem wprost naładowany tym tytaniem francuskiej i światowej literatury . Nie mogłem nie dotknąć ,choćby przelotnie, jego wielkiego ducha i jakże bogatego życia ,jego śladów w tym mieście. W poniedziałkowy poranek ze stacji „Chemin Vert” przez „Boulevard de la Bastill” dochodzę do uliczki skręcającej w prawo w dół do „Place des Vert”. Miejsce to zrobiło na mnie nieoczekiwane wrażenie ,wrażenie cichego , różowego w kolorach zakątka (choćby plac wcale nie taki mały) ,gdzie czas zatrzymał się w miejscu. Dokoła prostokątnego placu stare domy w stylu typowej paryskiej architektury XVIII – XIX wieku: od strony południowej arkady, uliczka ,potem prostokątnie wokół placu drzewa a w środku skwerek z fontanną. To przepiękne miejsce. -Dzisiaj muzeum zamknięte ! – Obwieszcza mi hardo, wyglądający na Wietnamczyka ,portier. Każe mi opuścić, kiedyś prywatny dom, obecnie muzeum wielkiego pisarza. Przrzekam sobie, nieco zawiedziony ale zmotywowany, że już jutro tu będę: - A demain ! Tymczasem, aby nie tracić czasu idę na ulicę de Thorigny do muzeum Pablo Picassa . Za jedenaście franków mogę oglądać do woli zamalowane i pełne temperamentu rysunki wybitnego artysty. W portfelu mam w sumie aż sto franków ,no więc coś ,wsiam w wagon pociągu metra „mojej” linii 4 zmierzając na Montparnasse ...!

Wsiadam na stacji „Montparnasse Bienvenue” ,co oznacza ,że jestem tu Mile Widziany !

Wieczór na Montparnasse

Trochę zmęczony ale szczęśliwy, spaceruję w ciepły i pogodny wieczór po Bulwarze Montparnasse. Oszałamiają niezliczone różnokolorowe reklamy kin ,kawiarni , restauracji i sklepów. Wyrasta przede mną ,niemalże znienacka, strzelisty wysokościowiec a nieopodal wpadam na słynną kawiarnię „La Cuopola”. – Wspaniale , mogę usiąść na tarasie, gdzie taniej ,no i zamówić sobie filiżankę solidnej małej czarnej. Wpierw przechadzam się po obszernym lokalu ; dokoła fotografie wybitnych gości ,którzy tu bywali : wspaniali aktorzy jak Michel Piccoli (nieco już podstarzały) ,Dustin Hoffman,a tam Serge Gainsbourg, obok znakomity piosenkarz „Sacha Distel” i wiele innych znakomitości. Świetna klientela. Fajne są te kafejkowe , przeszklone tarasy skąd można dyskretnie patrzeć na oświetlone ulice, na rwący w obie strony potok samochodów i idących spokojnie ludzi. -Wieczór na Montparnasse i, i ja...! Po prawej stronie, nieco z przodu, siedzą przy stoliku dwie kobiety w średnim wieku ,modnie ubrane. Po chwili przychodzi leciwa już dama ,świetnie ubrana w krótkie białoszare futerko ,z włosami gładko ściągniętymi do tyłu głowy ,a to wszystko zwieńczone dużą czarną kokardą. Siedzi sama. Przy stoliku sąsiadującym z nią siada dwóch młodych „dzinsowców”. Jeden z nich blondyn o nieciekawej urodzie usiłuje ją „zagadywać”; wymieniają między sobą jakieś uwagi ,ale Madame po wypiciu kawy definitywnie odchodzi. Po przeciwnej stronie „La Coupola” imponuje sztyld kawiarni „Le Select” z zielonym pasem światła wzdłuż daszku ,a tuż obok mały kantorek „Librairie de Cinema” a dalej „Restaurant le Pain et la Vin”. Schodzę po schodkach do nocnego lokalu „La Coupole”. W hallu sporych rozmiarów portret Ernesta Hemingway’a .Ileż ja się go naczałem. Nocny lokal z bardzo nastrojowym wnętrzem i niemniej nastrojowo grającym melodie południowo – amerykańskie ,zespołem muzycznym. Konsumpcyjne wynosi 70 Franków, ale do tego niezbędny jest strój wieczorowy.

ciąg dalszy na str. 22

Mój...

ciąg dalszy ze str. 21

Nastrój wybitnie dancingowy, co przypomina mi miłe letnie wieczory w krynickiej „Patrii”.

W pogodny wtorek 24 listopada, zmotywowany do maksimum, zmierzam zdecydowanie do muzeum Wiktora Hugo; kupuję bilet za 9 Ffr. „cerber każe mi zostawić mój sak w portierni. Drewnianymi schodami gonię szybko na górę, bo tam unosi się duch, idea i potęga myśli”, oraz sensu życia niepokornego człowieka – poety, pisarza, malarza a nawet polityka, Wiktora Marii Hugo. Są trzy piętra do zwiedzania: piętro pierwsze – to różne pamiątki po autorze słynnych „Nędzników”; przestronna sala z wysokimi na około pięć metrów oknami, następnie pokój raczej przejściowy, w którym dominuje malarstwo Hugo. Z mego laickiego punktu widzenia, to naprawdę dobre, dojrzałe malarstwo olejne, wiele szkiców i rysunków odręcznych. Piętro drugie – to pamiątkowe fotografie rodzinne oraz olejne portrety ojca pisarza, generała Leopolda Hugo (twarz okrągła, wyraziste grube rysy znamionujące siłę natury i energię działania) i matki; przystojnej szatynki, oraz portrety dzieci pisarza. W ostatnim pokoju tegoż piętra wystawiono odznaczenia jakie Hugo otrzymał, jego własny zegarek kieszonkowy i temu podobne akcesoria osobiste. Piętro trzecie – to pokój chiński z umeblowaniem w tymże stylu, który widać fascynował pisarza. W przedostatnim pokoju na tym piętrze można obejrzeć sporych rozmiarów biurko jego projektu i wykonania, jako że zajmował się także stolarką meblową. Na tym biurku znajdowały się trzy kałamarze z piórami gęsimi. Ostatni pokój – to

sypialnia, w której dominuje sporych rozmiarów łożo z baldachimem. Czwarte piętro – zamknięte dla zwiedzających – zajmują pokoje administracyjne muzeum. W tym wielkim domu wszędzie czuje się ducha tego wspaniałego pisarza i jego niezwykłej osobowości. Państwo Hugo – jak pisze – A. Maurois – „w październiku 1832 przeprowadzili się raz jeszcze. Wynajęli w lipcu obszerny apartament przy placu Royale, pod numerem 6 na drugim piętrze pałacyku Guemenec, szlachetnego domostwa zbudowanego około roku 1604, z widokiem na jeden z najpiękniejszych placów Paryża (obecny plac des Vosges, gdzie pod nr 6 jest dziś muzeum Wiktora Hugo): zieleni, różowe cegły i mansardowe dachy z łupku. Czynsz wysoki: tysiąc pięćset franków, lecz pokoje były olbrzymie, i kiedy Hugo, zawsze jednakoowo zakochany w antykach, kazał je obić czerwonym adamaszkim, zapłacił meblami gotyckimi i renesansowymi, popękanymi wazonami i talerzami, weneckimi świecznikami i obrazami swych ulubionych malarzy, nabrały okazałości królewskiej”. Muszę tu powiedzieć, że życie Hugo zmieniało się i, bywało częstokroć bardzo trudne i wyboiste. Po przeżyciach i duchowych refleksjach po zwiedzaniu muzeum Hugo, kieruję swoje kroki pod adres: 123, bl Boulevard de St-Germain, gdzie znajduje się Librairie Polonaise czyli Księgarnia Polska. To jeden z najstarszych ośrodków polskości na we Francji po Powstaniu Listopadowym, księgarnia założona w roku 1833 przez Eustachego Januskiewicza h. Lubicz (1805-1874), przyjaciela Adama Mickiewicza. Pytam o książkę prof. Stanisława Swianiewicza „W cieniu Katynia” wydaną przez paryski Instytut literacki, co dopiero, bo w roku 1986. Jest. To kapitalnie!, kupuję (65 F). Wydawca, czyli słynny nie tylko na emigracji Instytut Literacki (Instytut Litteraire) zlokalizowany w niemieckim słynnym Maisons – Laffitte, kierowany przez pana Jerzego Giedroyc’a, wydaje regularnie pismo literackie pod nazwą „KULTURA”. Dzisiaj te znakomite zeszyty już nie są wydawane, bowiem nie ma „niestety”, „Le directeur de la publication.” Późnym wieczorem, dobrze zmęczony, jestem w gościnnym lokum mego wujka, który już zdołał powrócić z St-Etienne-du-Bois. W środę 25 listopada jedziemy do Centrum Sztuki Nowoczesnej imienia G. Pompidou (byłego premiera Francji). Od rana leje deszcz. Paskudnie. Paryscy taksówkarze nazywają Centre Pompidou dość osobliwie (z uwagi na konstrukcję) – po prostu, „rafineria”. Znajdują się tu cztery instytucje – centra, a mianowicie: IRCAM czyli Instytut Badań Muzycznych, dalej Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Instytut Formy Przemysłowej oraz ogromna Biblioteka Wiedzy Współczesnej. Do biblioteki, którą zwiedzamy na końcu, ustawiała się ogromna kolejka chętnych. Przed wejściem do biblioteki wręczają nam ulotki nawołujące do demonstracji przeciwko rasizmowi na świecie w tym we Francji, planowaną na jutro. I słusznie, bowiem rasizm to wstrętna sprawa. Centrum Pompidou robi niezwykle wrażenie nie kojarzące się koniecznie z jakąś potężną fabryką, ale z jakąś produkcją to na pewno. W konstrukcji dominuje metal, który jest wszędzie obecny a schody wąskie pną się niczym szlak górski. Warto zobaczyć. Zmachani wspinaczką pędzimy na jakiś skromny posiłek. Wieczorem mamy zaplanowane spotkanie ze Zbyszka przyjacielem z okresu wojennego, z panem Henrykiem Świerkotem w Klubie Kombatantów Polskiego, przy rue Lagandre. Klub znajdu-

je się w kamienicy, która kiedyś należała do Ewy Peron, a która to kamienica została odkupiona przez kombatantów od Evity. Na parterze jest sala konferencyjna, na pierwszym – sala spotkań, odczytów i okolicznościowy drink-bar z niewielką kawiarenką. Po lewej stronie wejścia do kamienicy zauważyłam tablicę upamiętniającą postać generała Władysława Andersa. Jesteśmy nieco wcześniej, siadamy więc w kawiarence przy filiżance kawy. Tuż po dziesiątej pojawia się pan Henryk. Poznałem go w 1964 roku w St-Etienne du Bois i widzę, że się bardzo postarzał od tego czasu. No tak, ale to przecież minęło przeszło dwadzieścia lat. C’est la vie. Zamawiamy obiad w bardzo polskim stylu a nawet troszeczkę po Śląsku, wszakże Henryk pochodzi z Górnego Śląska a konkretnie z dawnej Ligoty, która obecnie jest dzielnicą Katowic; a zatem żurek z kielbaską i – co tu mówić – znakomicie smakujący nam bigos. Henryk mieszka w Montmorancy pod Paryżem, dokąd nas zaprosił. W klubie ktoś mocno podgrywał na pianinie dla nastroju; bardzo miły wieczór a dla obu starszych panów kombatantów z nutą wspomnień wojenno-powojennych. W czwartek 26 listopada, z samego rana pogналиśmy na rue de Rivoli by obejrzeć architekturę ratusza miejskiego (Hotel de Ville), w którym urzęduje mer Paryża, Jacques Chirac. Imponująco piękny gmach. Wuj ma bardzo dobrą opinię o panu Chirac. Deszcz leje niesamowicie, co nie przeszkadza nam ze stacji metra „Opera” przez Boulevard De La Madelein dotrzeć do placu o tej samej nazwie, ażeby tu podziwiać monumentalny, historyczny dla polonii francuskiej kościół świętej Magdaleny. Historyczny, bowiem tutaj odbywały się msze żałobne Chopina, Mickiewicza i Krasińskiego. W środku tej obszernej świątyni znajduje się mnóstwo rzędowo ustawionych krzeseł; piękne, nastrojowe wnętrza, jasne i bardzo eleganckie. Wyobraźnia przenosi polską duszę w nastrojowe mazurki i polonezy chopinowskie i romantyczne, odległe stepy akemańskie: „Jedźmy, nikt nie woła...” Opuszczamy tę hellenistyczną w architektonicznej formie świątynię, ażeby po chwili dotrzeć do chwały II Cesarstwa, wspaniałego gmachu paryskiej opery, znajdującego się właśnie przy Placu de L’Opera. Gmach ogromny, największy na świecie teatr, znany także z niezwykłego filmu z wiodącą postacią niesamowitego Belfegara. To niewątpliwie jedna z najwspanialszych budowli II Cesarstwa, do której powstania walczył przyczynił się hrabia Walewski, syn Napoleona i Marii Walewskiej, minister spraw zagranicznych Napoleona III. Wchodzimy do środka wraz z innymi chętnymi do zwiedzania. Bardzo monumentalne wnętrza: wszędzie marmury, rzeźby, wspaniałe lampy i kandelabry. Szerokie marmurowe schody wiodą na pierwszą kondygnację gmachu, za niewielką opłatą można pooglądać korytarze i przejścia a raz w tygodniu udostępnia się dla zwiedzania scenę i widownię słynnej opery. Czytam program Theatr National Opera De Paris 2 Novembre – D’ecembre 1987 i dostrzegam, że w Palais Garnier wystawia się Normę V. Belliniego, Macbeth G. Verdiego a w Salle Favart – między innymi – Don Giovanniego W.A. Mozarta. W obsadzie widoczne nazwiska gwiazd światowej sceny operowej – June Anderson i Alfredo Krausa (znakomity tenor hiszpański z Las Palmas). Polskie wspaniałe głosy operowe a także operetkowe zasługują od dawna na tak wspaniałą scenę w kraju. Zaglądam „do domu” na



Szybki INTERNET
światłowód
w Twoim domu
- skorzystaj już dziś

Skontaktuj się z nami:

InoNet
Poznańska 225
88-100 Inowrocław

TEL. 790-866-797

biuro@inonet.pl
www.inonet.pl

chwilkę odprężenia i odświeżenia, wszakże wybieram się z wizytą na południowy-wschód Paryża do cudownie zielonej dzielnicy Charenton (metro „Port de Charenton”). Tam, nieopodal słynnego lasku Bois de Vincennes, przy małej uliczce Valmy w niewysokim domu, mieszka miły starszy pan, przyjaciel, Jean B. Wizytę tę, odpowiednio wcześniej, uzgodniłem z nim telefonicznie. Oczekiwał mnie z obiadem na pięknie już przygotowanym stole, który znajdował się w pokoju o sporej powierzchni z dwoma dużymi oknami, w którego każdym niemal zakątku niemalosiernie buszowało słońce; piękny, obszerny w pastelowych kolorach salon. Miły gospodarz, uprzejmy i przyjacielski, zaprosił mnie do typowo francuskiego obiadu, a zatem smakowite przystawki z grzankami croutons, zestaw serów o aromatycznych zapachach, no i mięciutka kaczuska z frytkami. A potem, potem niemniej aromatyczna kawa z ciasteczkami. Unosiłem się niemal całym ciałem i duchem nad tym delikatnym, wspaniałym jadłem, popijając to wszystko dobrym winem a także wodą stołową do dyspozycji. – Viv la France, Monsieur! – zawołałem do gospodarza tak gościnnego dla mnie, skromnego przybysza z Polski; ale Jean mnie poprawił wołając: Viv la Pologne, Monsieur! – Mój Drogi Zdzisławie, tak jak onegdaj zawołał Charles Floquet, zwracając się cara rosyjskiego Aleksandra II w czasie jego wizyty w 1867 roku w Paryżu, upominając się tym sposobem o Wolną Polskę. Miła towarzysza i przyjaciółka Jeana, która towarzyszyła nam w spotkaniu promieniała uroczymi rumieńcami. Było bardzo miło i przyjemnie, ale czas nagiął, wszak miałem umówione spotkanie z wujem a jego celem – nabrzeże Quai de Bethine nr 36. Trzeba było pożegnać się i podziękować za wspaniałą i niezapomnianą atmosferę spotkania, za tak wiele przyjaźni i serdeczności. Docieramy pod ten adres ze stacji metra City na wyspie św. Ludwika. Idziemy nieopodal Notre-Dame. Na frontonie kamienicy pod tym numerem znajduje się tablica ku czci Marii Skłodowskiej-Curie; mieszkała tu do roku 1934, a więc do końca życia. Ulica przylega do samej Sekwany. W pobliżu most i drugi brzeg rzeki. Z ulicy Bethane wędrujemy nieco dalej, na uliczkę Quai d’Orleans, na której końcu pod numerem sześć stoi niewysoka kamienica z dużą bramą a nad nią napis: Bibliothèque Polonaise, czyli legendarna Biblioteka Polska w Paryżu, powstała w 1838 roku na apel J.U. Niemcewicza z czynnym udziałem wieszczki, Adama Mickiewicza a także księcia A. Czartoryskiego oraz innych członków Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Z niepewnością i lekkim drżeniem naciskam dzwonek znajdujący się w tej solidnej drewnianej bramie, ktoś naciska włącznik prądu i zezwala nam na wejście do sieni w głąb podwórza. Tam, na ścianie małego budynku widnieją dwie tablice z białego kamienia zawierające nazwiska honorowych założycieli i ofiarodawców na ten szczytny cel powołania Biblioteki Polskiej w samym sercu Europy: Juliusz Słowacki, wspomniany Adam Mickiewicz, Zamojski, W. Mickiewicz, syn i inni. Z podwórza wiodą małe schodki na parter biblioteki, w której summa summarum, znajduje się ponad 150 tysięcy tomów dotyczących dziejów Wielkiej Emigracji oraz zbiorów map, sztychów, modeli a także obrazów Matejki, Wyspiańskiego, Bonnańskiego i innych wybitnych postaci polskiej kultury. Adam Mickiewicz, dziękując garście oficerów polskich z Piemontu za datkę na bibliotekę, napisał: „Tak, Bracia - to także punkt

strategiczny.” Kończyliśmy zwiedzanie bardzo przejści i wzruszeni. W piątek, 27 listopada w pogodny acz chłodny poranek, jedziemy metrem do stacji „Trocadero”, ażeby stamtąd dotrzeć do słynnej Wieży Eiffel (Tour Eiffel), o której chyba każdy na planecie Ziemia coś tam zapewne wie. Kupujemy bilety na drugie piętro wieży, a więc na poziom 120 metrów z 300 metrów całkowitej wysokości samej konstrukcji; cena – 24 franki. Ruszamy windą wiodącą nieco na ukos, widok świetny; wzrok niesie hen, hen daleko i, pomimo spochmurniałego nieba, odnaleźliśmy sylwetkę Notre Dame, gmach paryskiego radia itd. Po południu, po domowym posiłku, hajda na Montmartre! Dojeżdżamy metrem do stacji „Notre Dame de Lorette”, chociaż można by do samego placu Pigalle na samym Montmartre. To malutki placik, teren pochylony, który przecina Boulevards de Clichy ze wschodu na zachód, pełen tak zwanych „domów schadzek”, wyrażając się oględniej. Idziemy dalej tym bulwarem ale nieco w lewo w górę wchodząc w ulicę Steinkerque, pełną kramików i sklepików z odzieżą damską i męską. Na rogu skręcamy znowu w lewo w rue Tardieu, skąd po chwili wyłania się w całej okazałości słynne SACRE’ COEUR; lśni bielą niebiańskiej architektury wprost nad naszymi głowami! Na sam widok wszystkie „grzechy” przepadają jak w kosmicznej nieskończoności. Basilique du Sacre’-Coeur, to ogromna świątynia z kopułą sięgająca 83 metrów wysokości, stanowiąc najwyższy punkt Paryża. Warto dodać, że na wieży świątyni znajduje się największy kościelny dzwon paryski, La Savoyarde, który waży około 19 ton. Z wysokich schodów bazyliki roztacza się wspaniały widok na Paryż. We wnętrzu panował kojący półmrok, który sprowadził na Zbyska, niemalże natychmiastową senność, gdy tylko usiedliśmy na chwilę odpoczynku; może śnił o Lwowie a może o Stryju, małym urokliwym miasteczku na przedwojennych południowo-wschodnich kresach Polski nad rzeką Stryj, gdzie urodził się i uczęszczał wraz ze starszym o pięć lat bratem do II gimnazjum, gimnazjum, które wydawało „Czasopismo uczniów II-go Gimnazjum w Stryju” w cenie 30 groszy za egzemplarz; o rodzinie pozostawionej w zawierusze wojennej, a może o tym właśnie ukochanym bracie, który już nigdy nie powróci z ciężkich walk dziesiątej Brygady Pancerniej Maczka spod tragicznego Montbard; a może o pierwszej żonie Nonoll, z którą nie miał potomstwa a może właśnie o tej drugiej, dużo młodszej i trójce dorastających dzieci, a może o przyjaznej Francji, o polach wokół Saint Etienne du Bois, a może o jakiejś cielącej się krowie, do której go wezwano w środku nocy... Wracając do Placu Pigalle i dzielnicy Pigalle, nie można nie wspomnieć o znajdującym się tam słynnym kabarecie „Moulin Rouge”, czyli po prostu „Czerwony Młyn”, uwiecznionym na niemniej słynnych obrazach niesamowitego malarza Toulouse-Lautrec. Dzisiaj jest sobota 28 listopada 1987. Jakoś źle spałem tej nocy, chłodnej, ale wciąż pachnącej paryskimi kasztanami. Zaraz po dziewiątej wyruszamy do polskiej księgarni o wdzięcznej nazwie „Libella”, znajdujące się na wyspie Saint Michel, nieopodal Notre-Dame i Biblioteki Polskiej. Miły pan, około trzydziestki, przeprasza uprzejmie za remont i związany z nim pewien bałagan, ale udostępnia nam wszystkie zgromadzone woluminy tej wspaniałej księgarni do wglądu; sporo tu ciekawych książek z kraju i emigracji polskiej na świecie. Łapczywie przeglądam co tylko się da i zaglądam

gdzie tylko się da. Z moich skąpych funduszy kupuję pozycję Władysława Andersa pod tytułem: „Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939 – 1946,” wydanie trzecie, przejrzone i poprawione przez autora; Wyd. IX – Londyn 1987, Gryf Publishers LTD. Słynny i legendarny generał pisze w dedykacji: „Żołnierzom i bojownikom sprawy Polskiej w kraju i na obczyźnie poświęcam tę książkę.” Opuściliśmy księgarnię idąc obok domu Marii Curie-Skłodowskiej (bo taka jest kolejność nazwisk naszej wybitnej rodaczki we Francji), i dalej przeurocznymi uliczkami niedaleko Notre-Dame; jedna z tych uliczek, to wyłącznie same kawiarenki i tawerny prowadzone przez greków. Robię zdjęcie, lecz nie mam pewności czy będą udane, bo wiem niebo jest bardzo pochmurne. Wędrujemy dalej wzdłuż Sekwany, Sekwany opiewanej przez Juliusza Słowackiego, przez Lucjana Rydla, jak również barwną prozą Tadeusza Boya-Żeleńskiego: „Naraz wyszedłem na wolną przestrzeń, owionął mnie chłód wody, znalazłem się na Wybrzeżu, skąd rozpościł się czarodziejski pejzaż Sekwany w nocy, z jej arkadami mostów, wzruszającym drżeniem światła, odbijających się w wodzie, czarnymi masami nabrzeżnych gmachów.” Idziemy Quai de Be’thune przez Pont De La Tournell do rue Q. De La Tournell, i dalej na Boulevards Saint Germain. Właściwie, Biblioteka Polska i kamienica Skłodowskiej, znajdują się przy tej samej ulicy, która przedzielona w połowie przez rue Des Deux Ponts (ulicę dwóch mostów) z jednej strony, zachodniej, nosi nazwę Quai De Orleans, a z drugiej, wschodniej, Ile De La Cite. Z południa Paryża, gdzie mieszkam, można tu dotrzeć linią metra 4, wysiąść na stacji Saint Michel (na placu o tej samej nazwie) lub dalej, na wyspie na stacji Cite’, która znajduje się przy rue Lutece, akurat vis avis Prefecture de Police. Notre-Dame, znajduje się nieco dalej, na wschodnim cyplu wysepki, na Squer Jean XXIII; ale przedtem trzeba przejść przez rue De La Cite’, obok Hotel-Dieu. Obie części tej wyspy łączy most Świętego Ludwika. Są to miejsca niezwykle, tajemnego uroku, pozostające na długo w zakamarkach psychiki. Po południowe słońce dodaje nam otuchy, ale nadal jest paskudnie zimno; ręce marzną na kość. Jedziemy metrem w kierunku Place des Invalides, uprzednio przez wielki obszarowo, Esplanade des Invalides, która przedziela wzdłuż Avenue Gallieni. Południowy brzeg owej „esplanady” zamyka Hotel D’honneur des Saint Louis Invalides, w którym mieści się Muzeum Armii, a nieco dalej, w głębi lśni dostojnie słynny Panteon. Muzeum Armii gromadzi przeróżne eksponaty z dawnych wojen XVI, XVII i XVIII wieku, a zatem zwykłe, proste działa armatnie lub wymyślnie zdobione napisami pól bitewnych, rysunkami, rzeźbieniami; muzeum ubiorów wojskowych, sztandarów, i chorągwi, głównie okresu wojen Napoleońskich. Na piętrze tematyka II Wojny Światowej; na ścianach krużganek znajdują się tablice pamiątkowe w tym także tablica ku chwale polskich żołnierzy na polach walk we Francji. Boczny korytarzem Muzeum Armii przechodzi się wprost do Panteonu, którego początki datują się na rok 1774, kiedy to bardzo chory król Ludwik XV Święcie obiecał, że skoro tylko powróci do zdrowia, to postawi kościół swej patronce, świętej Genowefie. Wyzdrowiał i obietnicę spełnił. Burzliwe dzieje Francji w tym czasie powodowały zmiany charakteru gmachu, który w konsekwencji stał się świątynią chwały, wszak złożono tam w 1791

dokończenie na str. 24

Mój...

dokończenie ze str. 23

roku ciało pisarza i działacza Wielkiej Rewolucji Francuskiej, hrabiego Mirabeau, a następnie Woltera, Rousseau, Hugo, Zolę. Ta część panteonu o owalnej podstawie z ołtarzami dokoła schodzi w dół do głównej części, w której znajduje się centralnie usytuowany, sarkofag („tombeau”) Napoleona Bonaparte. Sarkofag otoczony jest marmurową balustradą. Na ścianach widnieją rzeźby (reliefy) króla Ludwika XIV a dalej posąg Napoleona Bonaparte w todzie z imperialistycznym wianem na głowie, wypisane jego zasługi i cytaty wypowiedzi, słynny Kodeks Napoleoński w pełnym brzmieniu z podkreśleniem, że prawa tegoż kodeksu są w swej prostocie najtrafniejsze. Na poziomie pierwszym, znajdują się grobowce – to marmurowe to metalowe – między innymi Józefa Napoleona I, konstruktora wojskowych fortec. Wychodząc z monumentalnego Panteonu, podziwiamy wspaniały widok na Plac Panteonu i bibliotekę świętej Genowefy, na której murach wyryto nazwiska uczonych różnych narodowości, w tym Polaków w osobach Mikołaja Kopernika, Naruszewicza oraz reformatora polskiego szkolnictwa, pedagoga, poety i pisarza, człowieka bardzo postępowego, zakonnika w jednej osobie, Stanisława Konarskiego. Wracamy piekielnie zżębnieni, pomimo, że paryskie słońce mruga filutecznie, pomiędzy tęgimi chmurami. ❖

cdn.

Nagroda poetycka „Źródło”

Centrum Sztuki Mościce oraz Gminny Ośrodek Kultury w Borzęcinie ogłaszają jubileuszową, X edycję Małopolskiej Nagrody Poetyckiej „Źródło” oraz VI edycję konkursu „Małe Źródło”. Wydarzenie, realizowane nieprzerwanie od dekady, należy do istotnych inicjatyw literackich w Polsce, gromadząc corocznie licznych uczestników z kraju i zagranicy.

Ideą konkursu jest promowanie poezji podejmującej refleksję nad tożsamością, pamięcią, wspólnotą oraz współczesnymi doświadczeniami społecznymi i kulturowymi. Konkurs pozostaje otwarty na różnorodne formy wyrazu artystycznego i wrażliwości twórcze.

Oceny prac dokona jury pod przewodnictwem Józefa Barana, w składzie: Jadwiga Malina, Beata Paluch oraz Adam Ziemianin.

Konkurs ma charakter otwarty i ogólnopolski, a jego jubileuszowa edycja obejmuje dwie kategorie:

Małopolską Nagrodę Poetycką „Źródło” – dla osób pełnoletnich,
„Małe Źródło” – dla uczestników do 18. roku życia.

W ramach konkursu przewidziano nagrody główne i wyróżnienia, w tym nagrody specjalne za utwory związane z regionem Małopolski oraz dla autorów spoza Polski. Łączna pula nagród wynosi blisko 10 tys. zł. Wybrane utwory zostaną opublikowane w wydawnictwie pokonkursowym.

Warunkiem udziału jest nadesłanie 3-4 autorских, niepublikowanych wcześniej wierszy w języku polskim, zapisanych w formacie PDF i opatrzonych godłem (pseudonimem). Zgłoszenia należy przysyłać do 30 czerwca 2026 r. drogą elektroniczną na adres: poezja@csm.tarnow.pl lub pocztą tradycyjną na adres organizatora, wraz z wymaganymi dokumentami i potwierdzeniem opłaty zgodnie z regulaminem.

Stefan Pastuszewski

Hipotezy klubowe

Artykuł ten jest zbiorem hipotez, bo wiem w materii, której dotyczy, nigdy nie ma twardych dowodów.

Imperializm amerykański, czyli ustanawianie świata według własnego interesu i widzimisie, co obecnie wyłazi na wierzch w postaci Donalda Trumpa, to nie tylko rozprzestrzenianie Coca-Coli, hot dogów i hollywoodzkich kiczy filmowych oraz 30 interwencji i prowokacji zbrojnych poczynając od 1903 roku, a skończywszy na prowokacji ukraińskiej, ale też sieć „klubów CIA”.

Co pod tym użytym przez Charliego Englisha pojęciem się kryje? Ano gniazda mniej lub bardziej sekretne oddziaływały na osoby i instytucje znaczące oraz na gawiedź. Są dwa instrumenty tych oddziaływań: przekonywanie w blasku imponujących gwiazd demokracji, wolności i praw człowieka oraz pieniądze. Rządziej stosuje się, tak typowe dla imperializmu rosyjskiego, skrytobójstwo, co budzi sympatię do amerykańskiego imperializmu. Najwyżej w godnej podziwu akcji specjalnej zatłucze się jakiegoś łobuza, jak bin Laden, lub takiego łobuza się porwie i postawi przed sądem, jak Maduro.

Polska, choć jest na tym świecie małą pchełką, ale z racji położenia dość ważną, też doświadczyła owego „klubowania CIA”. I ja również. Gdy w 1981 roku byłem dość aktywną osobą w NSZZ *Solidarność*, to przyjechał do mnie jakiś trzeci lub czwarty sekretarz z konsulatu USA w Gdańsku, aby pogadać, a gdy w latach 1991-1993 byłem posłem na Sejm RP, to podobny osobnik, ale już z ambasady, zaprosił mnie na kawę w jakimś warszawskim hotelu. Prawdopodobnie nie nadawałem się na „klubowicza”, bowiem w obydwu przypadkach ponownych spotkań już nie było. Notabene w 1973 roku okazało się, że nie nadaje się też na „klubowicza” Służby Bezpieczeństwa PRL, bowiem spotkanie zakończyło się takim oto dialogiem:

– Czy wie pan, że gdyby na pana miejscu siedział Pan Bóg i powiedział: „Stefan, ty będziesz dla mnie donosił”, to ja bym odmówił?

– Ależ... Pana Boga nie ma.

– Dla mnie jest i obiektywnie, a więc także dla pana, jest.

W każdym razie imperializm amerykański skorzystał ze spontanicznego ruchu *Solidarności* i gdy władza realnego socjalizmu w PRL nie mogła jeszcze dojść do siebie po sierpniowym nokaucie, który okazał się także bolesnym dla ZSRR, to w 1985 roku doszło w Reykjavíku do spotkania dwóch imperatorów: Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa. Ten drugi, chytrze myśląc, że mówić można wszystko, a robić i tak będzie swoje, „ustąpił” USA kawałek Europy, z Polską na czele. Potem okazało się, że to „swoje robienie” jest niemożliwe, bowiem Armia Radziecka, zabiwszy kilkunastu Litwinów i Łotysz, musiała się z Inflant wycofać. W Polsce nikogo oficjalnie nie zabiła, ale mimo poparcia ze strony Lecha Wałęsy też musiała się ewakuować.

W 1986 roku rozpoczęła się gra – bez reguł oczywiście – o miejsce w nowej, nieznanej jednak rzeczywistości, której fundamentem stał się geopolityczny kompromis z 1986 roku. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, chcąc zachować dominującą rolę w państwie, skupiła się na – nieudanej zresztą – reformie gospodarczej, wychodząc ze słusznego założenia, że ekonomia jest fundamentem każdego współczesnego państwa. Wojskowe tajne służby i elita SB przygotowały kadry dla państwa w perspektywie NATO-wskiego. Główny korpus SB został przez partię porzucony, ale nie odrzucony, więc nie chcąc zapaść w niebyt, tworzył dla siebie pole do działania w formie „oswojonej” opozycji. Kontrolował też opozycję „przyjazną”, dążącą do wewnętrznego kompromisu, skupioną wokół Lecha Wałęsy. Powstanie „drugiego” NZS-u w województwach bydgoskim, toruńskim i olsztyńskim było efektem tej taktyki, a także niektóre poczynania Federacji Młodzieży Walczącej oraz Ruchu „Wolność i Pokój”. Na nic to się zdało, bowiem *okrągły stół* nie dopuścił do głosu owej „oswojonej” opozycji młodzieżowej, która – szukając dla siebie miejsca – z ochotą włączyła się w tworzenie nowej rzeczywistości, w tym nowych tajnych służb. Służba Bezpieczeństwa została w 1991 roku rozwiązana, a jej młodzi i mniej skompromitowani funkcjonariusze przeszli do Urzędu Ochrony Państwa oraz policji państwowej, zaś starsi stopniem – na wysoką emeryturę lub do różnych agencji ochroniarskich tudzież mafii.

„Klubowicze CIA”, a niektórzy byli także „Klubowiczami SB”, po krótkim przeszkoleniu w USA zajęli naczelne pozycje w nowych tajnych służbach – cywilnych i wojskowych. Trzeba bowiem wiedzieć, że w latach osiemdziesiątych XX wieku polskie tajne służby pracowały już bez zbędnej biurokracji, której żenujące odpadki skrzętnie gromadzi Instytut Pamięci Narodowej, a młode naukowe wilczki robią karierę naukową, ślepo zapatrzone w te odpadki.

SB zaczęła pracować nowocześnie, po amerykańsku. Na wydatkowane dla „klubowych agentów” pieniądze nie potrzeba już było pokwitowań czy żenujących raportów, którymi pasjonują się młode IPN-owskie wilczki, że *TW otrzymał na imieniny koniak zakupiony w „Konsumach”, a nawet kosz ze słodyczami z PEWEX-u*.

Główna gra wywiadów toczyła się i nadal się toczy na takich spotkaniach przy kawie w warszawskim hotelu, jakich byłem mało pojętym uczestnikiem w 1992 roku. „Klubowanie” to nie agentura, tylko partnerstwo, co usiłuje wmówić Paweł Sowiński w przypadku szefa paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia.

Tak, nie lubię imperializmu, wolę wolne gniazda narodowo-kulturowe, ale wiem, że coś ten świat musi spajać. Moje i żadne inne pisanie tego procesu spajania nie powstrzyma. Imperializm, mający do pomocy procesy i mechanizmy globalizacyjne, zawsze będzie górą. ❖

Maska autoetnografii

W masce łatwiej ustrzelić
miłością dobić
Przecież czułość jest we mnie
Ona od Boga pochodzi
Dlatego obowiązująca jest

Zabity troską
Płaczący
Zraniony
Wygwany
Pełen miłości

Ironia istnienia

Różnią nas tylko słowa

Jest we mnie miłość
Niewyraźalna

Czego nie można powiedzieć
Należy o tym bażgrać
Wydrapuję zatem na
Papierze czerpanym znikąd
Słowa i postacie wieloznaczne

Pragnę od tej miłości
Wytchnienia
Powietrza więcej i tlenu bez
wodoru
Proszę



Krzysztof T. Konecki PEKNIĘCIA I ZNAKI

Pęknięcia i znaki

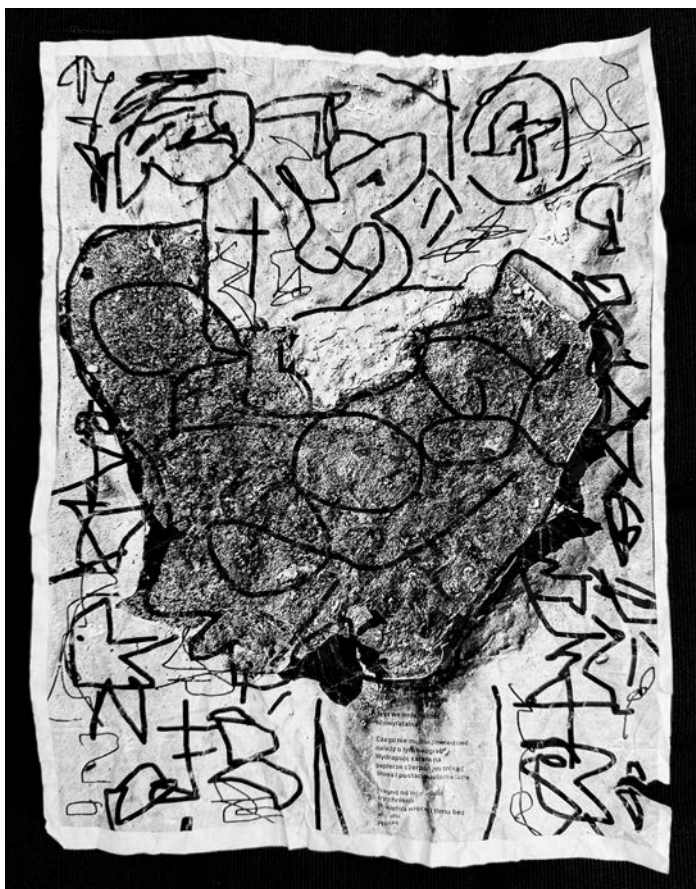
Pęknięta ściana mądrości
W szczelinach prawdziwe znaki

Powtórzenia które mają podtrzymywać
rzeczywistość i świat
zostają rozproszone
Siedzący Kapłan czy Faraon
Instrumenty czy ptaki
Wąż i antylopa podążająca
donikąd
mimo że tam Oko wszechwiedzące

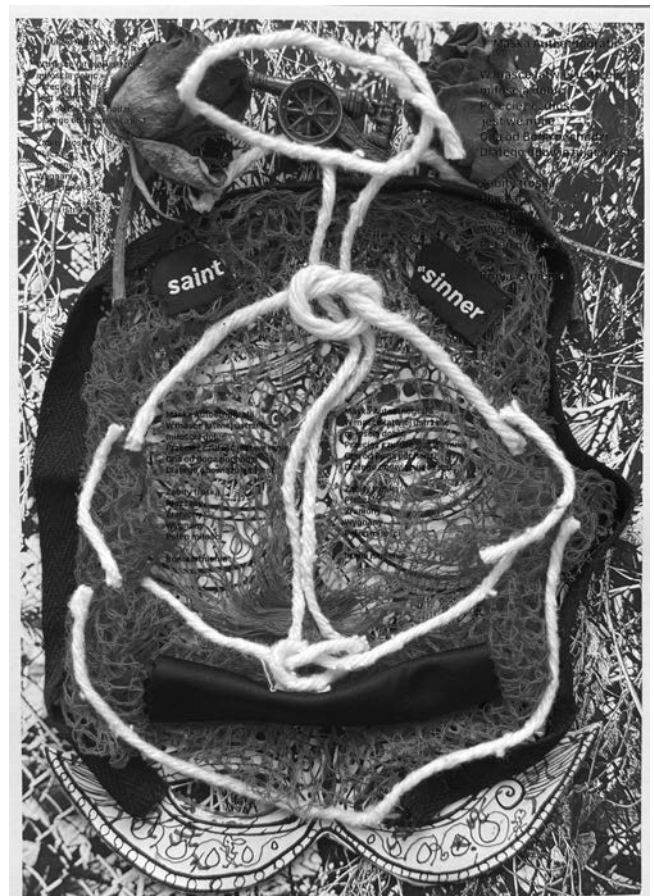
Stopa wskazująca kierunek
Czytanie od prawej do lewej
Symbole pragnące mych oczu
drżące z pragnienia zrozumienia

Bardzo chcę czytać
i wiedzieć
To silne uzależnienie
Jednak nie tutaj
nie składa się w jedną narrację

Czego mogę oczekiwać od świata
Mądrość w szczelinach
Brak dostępu



Krzysztof T. Konecki Różnią nas tylko słowa



Krzysztof T. Konecki Maska autoetnografii

Poezje znad Brdy

Bydgoszcz nie ma długich tradycji poetyckich. Poeci sprzed wojny są praktycznie nieznani, nie mówiąc już o wcześniejszych twórcach. Pierwszym poetą, którego Bydgoszczanie mogą i powinni kojarzyć jest przecież Jan Górec-Rosiński, urodzony na terenie dzisiejszej Białorusi, którego powojenne losy rzuciły na niezwykle trudny odcinek bydgoskiej orki na kulturalnym ugorze. Psioczył na Bydgoszcz i Bydgoszczan, ale założył znaczące pismo literackie „Fakty i Myśli” (później „Fakty”) i inspirował młodych ludzi, którzy zaczęli uprawiać poezję. Czas zniw przyszedł później, kiedy tworzyło kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu dobrych poetów, działały wydawnictwa jawne i podziemne, a książki poetyckie można było kupować w księgarniach rozsianych na terenie całego miasta. Jeszcze lata 90. obfitowały w różnego rodzaju inicjatywy, czemu sprzyjały mocne ośrodki... nocnego życia. Nic przecież tak nie spaja i nie inspirowa literackiej bohemy, jak dobre miejsce lirycznych biesiad, a takimi przecież były kawiarnia „Węgliszek”, kluby „Mózg”, „Trytony” i „Parnasik”. Kolejnych dwadzieścia lat to okres stopniowych, ale finalnie bardzo głębokich zmian w lirycznej tkance miasta. A dzisiaj? Jak wygląda teraz, w roku 2026 kondycja naszej, bydgoskiej poezji?

Pytanie wydaje się z gruntu pozbawione pokory koniecznej każdemu: już nie tylko badaczowi, ale choćby obserwatorowi i incydentalnemu uczestnikowi życia poetyckiego. O ile wcześniejsze czasy, mimo ich politycznego mroku i etyczno-estetycznej degrengolady, były uporządkowane, sformalizowane (w czym znaczny udział miała rzecz jasna cenzura i ekonomia oparta na reglamentacji), to dzisiaj czytelnik zostaje wrzucony w morze niewiadomych. Kiedy mam komuś zupełnie nieorientowanemu w bydgoskiej poezji wyjaśnić jej dzisiejsze oblicze, to jestem w kropce. Bo jak wytłumaczyć fakt, że jeszcze nigdy nie mieliśmy tylu tłumaczonych na języki obce i docenianych nagrodami poetów, podczas gdy

w metropolii działają raptem dwie znaczące, niezależne (czyli niesieciowe – „Gratka” na ul. Jezuickie i „Toniebjaka” na ul. Gdańskiej) księgarnie, w których i tak ze świecą w rękę szukać książek poetyckich lokalnych autorów? Jak wytłumaczyć fakt, że książki poetyckie ukazują się wyłącznie dzięki finansowaniu samorządu lub wówczas, gdy sam autor sięgnie głęboko do własnej kieszeni, a mimo to każdego roku ukazuje się co najmniej kilkanaście bardzo dobrych lub wręcz wybitnych tomików, których i tak zwykle nie można nigdzie kupić?

W rzeczy samej bydgoska poezja 2026 roku przypomina w dużej mierze podróż po rzeczywistości alternatywnej. Kilukrotnie więcej jest w Bydgoszczy poetów niż czytelników, a mimo to właśnie nad Brdą znajduje się redakcja jednego z ostatnich w kraju poważnych czasopism literackich dostępnych w salonach „Empik” w całej Polsce („Akant”), to właśnie tutaj jest kilka wydawnictw publikujących poezję na poziomie, do którego niewielu lub zgoła żaden wydawca spoza miasta nie jest w stanie się porównywać pod względem edytorskim, a na to wszystko środowisko literackie jest bardziej podzielone niż społeczności kibicujące ukochanym klubom sportowym lub partiom politycznym. I w dodatku ta konstrukcja działa! Każdego miesiąca na terenie miasta odbywa się co najmniej dziesięć cyklicznych spotkań literackich, w których bierze udział kilkanaście-kilkadziesiąt osób. Mało tego, to właśnie w Bydgoszczy odbywa się największa w regionie dwudniowa impreza literacka pod nazwą *Kujawsko-Pomorski Festiwal Książki*, na której dotychczas nie gościł żaden lokalnej proweniencji poeta (w tym roku się to zmieni!). Zaiste trudno jest wytłumaczyć koloryt bydgoskiej sceny poetyckiej.

Gdyby jednakże podjąć taką próbę, to trzeba powiedzieć, że od lat funkcjonuje w Bydgoszczy co najmniej kilka zupełnie niezależnych od siebie lub zązębiających się środowisk twórców, a obok nich tworzy i wydaje rój twórców niezależnych.

Przed wszystkim należy wymienić trzy grupy poetów zrzeszonych formalnie w związkach twórczych: Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich kierowanym przez Bartłomieja Siwca, Związku Literatów Polskich prowadzonym przez Dariusza Tomasza Lebiotę i Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury, któremu lideruje Krystyna Wulert. Wszystkie trzy organizacje organizują spotkania autorskie i wspierają swoich członków w promocji książek poetyckich.

Konieczne trzeba zauważyć niemniej aktywne środowiska literackie, które od lat działają na zasadzie nieformalnej kooperacji i artystycznego fermentu. Jako pierwsze, nie tylko z racji stażu na kulturowej mapie regionu i kraju, należy wymienić poetów skupionych wokół Stefana Pastuszewskiego i wydawanego przez niego nieprzerwanie od 1998 roku miesięcznika „Akant”, w którym dział poezji prowadzi Marek Szypulski. W redakcji czasopisma odbywają się regularne spotkania warsztatowe dla twórców.

Niesamowitą pracę wykonuje w osiedlowym klubie „Modraczek” poetka Barbara Jendrzewska, która od lat prowadzi tam spotkania z autorami. W Kujawsko-Pomorskim Centrum

Kultury regularnie odbywają się wydarzenia literackie, które prowadzi Bartłomiej Siwiec, a zapraszani są nie tylko członkowie SPP. Twórczym miejscem na mapie miasta jest Galeria Autorska Jana Kaji i Jacka Solińskiego. W niepozornej piwnicy przy ul. Chocimskiej 5 odbywają się prawdziwe misteria poezji ufundowanej na głębokiej duchowości, gdzie bardzo często liryka i malarstwo uzupełniają się i dopełniają.

Relatywnie nowym zjawiskiem na lokalnej scenie poetyckiej jest inicjatywa *CzyRzecz*, która trafia z poezją do miejsc nieoczywistych, jak pub *Over the Under*, Bydgoskie Centrum Sportu, Młyny Rothera, czy... Izba Tradycji Kolei. Kolektyw *CzyRzecz* organizuje slamy poetyckie i dyskusje, w których mogą (i biorą!) udział młodzi twórcy szukający nowych, świeżych form wyrazu.

Warto i należy wspomnieć o tym, jak ogromną pracę wykonują animatorzy kultury w szkołach, zwłaszcza średnich. Nie do przecenienia jest inicjatywa zatytułowana „Zauważeni”, której efektem jest antologia młodych poetów (uczniów szkół średnich). Za przedsięwzięciem stoi poetka, nauczycielka, członkini Grupy Literackiej *Et Cetera* Joanna Gładkowska-Rosińska.

Wielu bydgoskich poetów tworzy na marginesie lub wręcz poza nurtem lirycznego życia miasta. A mimo to każda ich książka jest wydarzeniem. Mam wrażenie, że takich indywidualistów jest w Bydgoszczy bardzo wielu, bo to przecież nie tylko Grzegorz Kaźmierczak, wokalista popularnej grupy *Variete*, który bezpłatnie udostępnia wszystkie swoje wiersze na stronie internetowej, ale także masa poetów zadziornych, którzy po prostu lepiej się odnajdują poza związkami, stowarzyszeniami, schematami. Mam tutaj na myśli choćby Krzysztofa Lutowskiego czy Rafała Budzbona, którzy wydają swoje książki sporadycznie, ale każdy tytuł budzi żywe dyskusje.

Czy można opowiedzieć o kondycji lokalnej poezji Roku Pańskiego 2026 w formie zwięzłej, lapidarnej, faktograficznej i kompletnej? Wydaje się, że z uwagi na złożoność, wielowymiarowość, dynamicznie zmieniającą się konstelację środowisk i miejsc, w których bydgoska liryka znajduje właściwe podłoże, jest to niemożliwe. Z pewnością jednak trzeba skonstatować, że ma się ona dobrze. Być może tak dobrze, jak nigdy wcześniej, choć dotarcie do niej jest trudniejsze niż kiedykolwiek. Jeśli jednak ta sztuka się komuś powiedzie, jeśli zanurzy się w poezji znad Brdy, znajdzie w niej wszystko to, czego szuka. ♦

Sławomira Sobkowska-Marczyńska

Szósta trzydziści

Pamięci ofiar Czerwca '56

tamten świt
rozerwało wycie syren

gniew urwał się
z uwięzi
wzbił ponad strach
chciano mu odrąbać skrzydło
połała się krew
ale

podniósł głowę



FIRMA RODZINNA

PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE

NAJLEPSZA JAKOŚĆ

PRZYSTĘPNA CENA

DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

Paweł Wacek

Są jeszcze jakieś granice

O 18:47 czasu wschodnioamerykańskiego astronauta Artemisa II znaleźli się po ciemnej stronie Księżyca. Sygnały radiowe i laserowe umożliwiające kontakt między statkiem kosmicznym a ziemią zostały zablokowane przez Księżyc. Przez około 40 minut czwórka astronautów znalazła się sam na sam ze swoimi myślami. Sytuacji tak głębokiego dyskomfortu nie ćwiczą nawet podczas specjalistycznych treningów. Nawet kadra szkoląca uznała, że to już krok za daleko.

William Stafford

A Ritual to Read to Each Other

If you don't know the kind of person I am
and I don't know the kind of person you are
a pattern that others made may prevail in the world
and following the wrong god home we may miss our star.

For there is many a small betrayal in the mind,
a shrug that lets the fragile sequence break
sending with shouts the horrible errors of childhood
storming out to play through the broken dike.

And as elephants parade holding each elephant's tail,
but if one wanders the circus won't find the park,
I call it cruel and maybe the root of all cruelty
to know what occurs but not recognize the fact.

And so I appeal to a voice, to something shadowy,
a remote important region in all who talk:
though we could fool each other, we should consider —
lest the parade of our mutual life get lost in the dark.

For it is important that awake people be awake,
or a breaking line may discourage them back to sleep;
the signals we give — yes or no, or maybe —
should be clear: the darkness around us is deep.

Rytuał czytania siebie innym

Jeśli nie wiesz jakim jestem człowiekiem
a ja nie wiem jakim człowiekiem jesteś ty
chyba na świecie przetrwa model utarty przez innych
i gwiazdę naszą przegapić możemy gdy bóg prowadzi fałszywy.

Bo w myślach czai się niejedna mała zdrada,
wzruszenie ramion co burzy misterną układankę
przywraca krzyki potwornych błędów z dzieciństwa
pędzi na oślep by zadrzeć raz jeszcze w pęknięciach tamy.

I jak słonie ze splecionymi ogonami parady, ale jeśli jeden zabłądzi cyrk nie odnajdzie parku, nazywam to okrucieństwem, a nawet źródłem okrucieństwa bo wiemy co się stanie, a jednak ignorujemy fakty.

I tak nawołuje do głosu, do czegoś mrocznego, odległego ważnego obszaru w każdym kto mówi: Choć możemy się oszukiwać, powinniśmy uważać — by nasza wspólna parada życia nie zabłąkała się w ciemności.

Bo ważne jest, by ludzie przebudzeni pozostali świadomi, bo inaczej linia horyzontu może zniechęcić ich do snu; sygnały, które dajemy — tak lub nie, lub może — powinny być jasne: ciemność wokół nas jest głęboka.

Tłum. Gregory Spis

Stanisław Dłuski

Niepodległy poeta

Stefan Pastuszewski w swojej poezji buduje osobny i niepowtarzalny świat, który daje nadzieję i wiarę w człowieka. Nie jest to jednak nadzieja łatwa ani powierzchowna — wyrasta ona z doświadczenia kruchości, przemijania i wewnętrznych napięć, które towarzyszą ludzkiej egzystencji. Jego wiersze nie uciekają od ciemności, lecz przeciwnie — przechodzą przez nią, jakby tylko w ten sposób można było dotknąć światła.

Świat poetycki Pastuszewskiego jest głęboko zakorzeniony w codzienności. Nie znajdziemy tu patosu ani wielkich deklaracji oderwanych od życia. Zamiast tego pojawiają się konkretne obrazy: ciało, przestrzeń miasta, natura, drobne gesty i sytuacje, które nagle zyskują wymiar metafizyczny. Poeta zdaje się mówić, że sens nie przychodzi z zewnątrz, lecz rodzi się w uważnym przeżywaniu tego, co zwyczajne.

Istotnym elementem tej poezji jest także napięcie między zwątpieniem a wiarą. Podmiot liryczny często stoi na granicy — niepewny, poszukujący, czasem rozbity. A jednak w tym stanie nie dochodzi do całkowitego rozpadu. Przeciwnie, pojawia się cicha, uparta zgoda na istnienie. To właśnie w tej zgodzie kryje się siła — nie spektakularna, lecz wytrwała.

Pastuszewski nie idealizuje człowieka. Pokazuje jego słabość, lęki i ograniczenia. Jednocześnie jednak nie odbiera mu godności. W jego wierszach człowiek pozostaje kimś, kto — mimo wszystko — zdolny jest do dobra, do refleksji, do przekroczenia własnych granic. Nadzieja nie polega tu na obietnicy łatwego zbawienia, lecz na przekonaniu, że nawet w świecie pełnym sprzeczności możliwe jest ocalenie sensu.

Ważną rolę odgrywa także obecność sacrum, które nie jest nachalne ani jednoznaczne. Bóg w tej poezji nie przemawia wprost — raczej ukrywa się w znakach, w ciszy, w niedopowiedzeniu. To sprawia, że doświadczenie wiary staje się bardziej osobiste, a zarazem bardziej wymagające. Czytelnik nie otrzymuje gotowych odpowiedzi, lecz zostaje zaproszony do własnego poszukiwania.

Esejowa refleksja nad twórczością Pastuszewskiego prowadzi więc do wniosku, że mamy do czynienia z poezją głęboko humanistyczną, choć nie naiwną. To poezja, która nie zamyka oczu na cierpienie, ale też nie pozwala mu mieć ostatniego słowa. W świecie przez nią kreowanym człowiek — mimo swojej kruchości — pozostaje kimś ważnym, zdolnym do nadziei. I może właśnie dlatego te wiersze brzmią tak przekonująco: bo nie obiecują zbyt wiele, ale też nie odbierają tego, co najistotniejsze. ♦

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018-2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także — co jest ważne dla literaturoznawców — spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.

Cena wraz z przesyłką: 35 zł

Nr konta: 03124011831111001002291025

Co tam słyhać?

Leży na kanapie w dużym pokoju. Słyszy jak stukają obcasy. Pod blokowymi oknami szybkim krokiem idzie jakaś kobieta, najwyraźniej niewielkiego wzrostu, co można wnioskować po dużej częstotliwości stukania. Drobi kroczyki, do tego chyba spieszy się na kolejkę, bo w tym rytmie jest dodatkowo pewna nerwowość. Stuk, stuk, stuk... Nagle rozlega się uderzenie jakiegoś przedmiotu o asfalt i kroki na moment milkną - najwyraźniej coś jej spadło na osiedlową ścieżkę i teraz to podnosi. Po chwili znowu słyhać: stuk, stuk, stuk, choć teraz znacznie ciszej, bo kobieta z pewnością już zniknęła za rogiem pawilonu handlowo-usługowego. Narasta szum kolejki, która jest jeszcze pod wiaduktem, ale już po chwili wagony z łoskotem wjeżdżają na peron, przerażająco skrzypią hamulce i nagle znowu przez chwilę jest cicho, bo budynek stacji znajduje się za daleko, żeby dochodziły stamtąd odgłosy wsiadania. Gdzieś bardzo blisko trzaskają drzwiczki auta, ktoś próbuje uruchomić silnik, ale z początku bez rezultatu. E,e,e,e,e,e,e e,e,e,e,e,e,e ... e,e,e,e,e,e,e... Jedna, dwie, trzy nieudane próby. To sąsiad spod trójki. Żeby tylko nie wykończył akumulatora. Wreszcie wiekowa skoda zaczyna mruczeć jak kot, silnik wchodzi na wyższe obroty i auto odjeżdża, miażdżąc oponami piasek na asfalcie. Znowu cisza, ale tylko na moment. Z wylotu osiedlowej uliczki dochodzi ciche: pik, pik, pik. To śmieciarka wjeżdża tyłem i już wkrótce słyhać jej ogłuszający warkot i wycie mechanizmu unoszącego pojemniki ze śmieciami. Śmieciarze wrzeszczą coś do siebie, słyhać ich głośny śmiech. Są niezmiennie w szampańskich humorach, czym zawsze wzbudza ją w nim zawiść. Wielokrotnie aranżował sobie różne przyjemności, żeby uzyskać podobny efekt

bezrefleksyjnej radości, ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Zdaje się, że z tym po prostu trzeba się urodzić. Jedni rodzą się do śmiechu, inni do smutku i nic tego nie zmienia. Na szczęście wizyta śmieciarki trwa zaledwie kilka minut i znowu jest cicho. Podwójnie cicho po tych infernalnych hałasach. Znowu kroki pod oknami, tym razem chyba męskie, stateczne. Wyobraża sobie, że to idzie urzędnik, który pracuje w jakimś wielkim gmachu. Nie lubi urzędów, boi się ich i unika. Pismo z urzędu nigdy nie wróży nic dobrego. Znienacka rozlega się uderzenie aluminiowej blachy o asfalt. Na rowerze przyjechał ten ponury typ, który długim kijem wyciąga puszkę z pojemnika, rzuca je i rozgniata z nieprzyjemnym chrzęstem. Kogo jeszcze nie obudzili śmieciarze, ten już na pewno nie pośpi. Kilkanaście metalicznych uderzeń, potem ugniatanie metalu ciężkimi buciorami. Zgniecione puszki wpadają do foliowej torby, ich dźwięk jest już płaski i głuchy, bo uległy sprasowaniu. Niech ten typ już odjedzie! Jak na zawołanie, słyhać skrzypienie dawno nicoliwionych kół i łańcucha. Po południu spotkać go można nad parkową rzeczką, gdzie moczy sobie nogi, popijając piwo. Temu też zazdrości, też chciałby niczym się nie przejmować i żyć z dnia na dzień. Nie potrafi. Nagle głośne: bum! Potem cichsze: bum, bum. Wala drzwi od śmietnika. Kolejny raz przychodzi mu na myśl, że spółdzielnia mieszkaniowa powinna zamontować jakąś sprężynę albo gumę, żeby się same nie zamykały. Matka i on pamiętają o tym i zamykają delikatnie... Ten ciąg myśli przerywa ogłuszający ryk startującego z Okęcia samolotu, który leci w swoją przyszłość i jego przeszłość. W tym hukcu toną wszystkie inne odgłosy. Samolot oddala się, ciągnąc za sobą swój hałas jak tren. Po kilku chwilach znowu panuje cisza. Kolejka

odjechała, następna będzie dopiero za piętnaście minut, śmieci wybrane, facet od puszek już był. Jednak ów stan zdaje się nienaturalny i jako taki nie może trwać zbyt długo. Odgłosy zawsze szukają ciszy, żeby ją zaanektować i zniewolić. I tak też się dzieje, choć źródło dźwięku pochodzi teraz z wnętrza mieszkania. Delikatnie skrzypi klamka naciskana pomarszczoną matczyną ręką. Staruszka wychodzi ze swojego pokoju i człapie do łazienki. Słyhać szum wody. Coś z brzękiem wpada do umywalki. Znowu kroki, tym razem do kuchni. Matka napełnia czajnik i stawia go na kuchence. Pstryka zapalarka i bucha gaz: Buu!, bo coś tam jest uszkodzone. Wody nalała bardzo mało, więc już po chwili słyhać szum pary uchodzącej przez dziubek. Staruszka sypie herbatę i cukier do kubka, łyżeczka delikatnie dzwoni o jego ściankę. Wyłącza gaz, napełnia kubek i miesza, starając się nie robić hałasu. Jej kroki zatrzymują się przy drzwiach do dużego pokoju. Nie słyszy tego, ale wie, że matka w tej chwili delikatnie je uchyla i spogląda na niego zatroskanym wzrokiem. Potem uspokojona idzie do swojego pokoiku i ciężko siada na tapczanie. A powinna się zaniepokoić. Kubek stawia na taborecie ustawionym przy pianinie. W następnej chwili słyhać rozmowę. Matka włączyła telewizor i jak zwykle o poranku ogląda telewizję śniadaniową. Za oknem uporczywie szczeka pies: hau, hau, hau. Zaraz potem znowu: hau, hau, hau i tak ciągle. Hałasuje Baksio pani Krysi z domu naprzeciwko. Przez męczące szczekanie przebijają się też jej jęklive głosy, pewnie rozmawia z sąsiadką, a pies z nudów obszczekuje jakiegoś pijacka grzebiącego w śmietniku. A wszystko to – począwszy od stukania obcasów, a skończywszy na szczekaniu Baksia – usłyszał w ostatniej minucie swojego życia i jeszcze zdążył się nieco zdziwić, że to nie osławiony ciąg obrazów, a jedynie kakofonia banalnych dźwięków. Przecież po wielokroć sły s z a ł, że ma być jasne światło, wizje, zmarli krewni... Zdziwił się i wyzionął ducha. Bezgłośnie. ♦

Jerzy Utkin

Stefanowi Pastuszewskiemu

drozd i zabójcy

ja tak tylko udaję że wciąż jeszcze żyję
z pętli złudzeń pośpiesznie wydobywam szyję

kiedy zabójcy drozdów na łów wyruszają
krążąc wokół krwi żądną bezlitosną zgrają

ofiara z niewinności mile jest widziana
zabójcy już czekają a przede mną ściana

którą głową przebijam głową kręci szyja
nadzieja się pojawia lecz rychło przemija

z tym wiatrem który z wiadra złowieszcze odgłosy
namiętnie wydobywa ktoś goły i bosy

wędruje bezdrożami zabójcy za nami
drozd śpiewem się zanosí trzepocząc skrzydłami

bezbronny i niewinny ideał ofiary
bez znaczenia czy młody czy już bardzo stary

krwią okupi brak winy drozdom my podobni
krew rdzawą strugą spłynie po stalowej główi

i wsiąknie w grunt by błoto szczelnie oblepiało
pieśń przerwana brutalnie i gnijące ciało



Celina Lesiewicz**Rozumienie**

Ilu!
Ziemią Cię penetruję nocami,
że nawet nie zdołasz
przychodzić za szybko, tak
ręce Ci trawą szeleszczą
światłami kołyszają, wciąż wołasz; śpiewają.

Tobą się rozszczępiam na osiem
i w pogoń, co dalej, nie zdążysz poskładać

szelestów na listy,
poszeptów,
pożegnań na chustki...

Co w domu, na ścianie
powiesz za niebo, gdzie ja
ja w rogu, w pociągu,
w kaloszach, w pamięci,
w rozwietrze na górze.

Co w ziemiach zaszyte, strzelone
i celnie i
zgodnie i
godnie i
wcale.

Ilu!
Ziemią Cię penetruję nocami -
czekanie.

Aneta Jasłowska**Rozlewisko**

Miedzy nami flauta. Milczenie aż krzyczy.
Czas na krzywych nogach. Potyka się. W progu.
Efekty fenowe wyrywają szczyty
bezwzględnej nicości. A sens tylko pożółkł.

Rozsypane słowa. Na blacie. W pośpiechu.
I nieme spojrzenia. Za obce. Na bliskość.
Przed wyjściem. W zwierciadle. Tylko mały retusz.
Rozszarpane myśli. Upadły. Zbyt nisko.

Miedzy nami sztormy. I wraki. Bursztyny.
Zmurszała rutyna wisi w ciemnym kącie.
A byłam tak ważna. A byłeś jedyny.
Lecz wina rozlana. I wino półśłodkie.

Maria Stańczyk**Terapia par**

Chodząc na
terapię par
czujemy się
jak słudzy Królowej Kier
jak nienormalni
malując róże
na czerwono

Maria Stańczyk**Biała Maria**

Jestem skończona w Warszawie
Dublinie, Poznaniu i Lwowie
stłukłam siedem luster
a każde warte sto lat bez miłości
i w każdym przegląda się większy diabeł

teraz sprzedadzą moje pianino, dębowe krzesła i szafę
wylicytują obrazy i kryształowe świeczniki
Białą Marię na dziesięć osób
co nigdy nie wyszła z kredensu
uszkodziła przy przenoszeniu gdy już położyła zadatek

zdziwi się tylko
sąsiadka z numeru dalej
lecz ona nie może wiedzieć
komu byłam winna wiersze
a komu ciało

Anna Makselon Paton**Po Tobie**

Gołąb już nie siada
dach pęka
głowa przecieka

po Tobie
niosę słoje na rękach
tłukę maliny z myślami
spływają po nadgarstkach
spadając caują podłogę

po Tobie
uderzają chlap chlap
jak kiedyś ...
gdy wiązałeś mi nadgarstki
a stół był mną nakryty
w malinach
....zostałam
po Tobie

Śławomir Krzyska

* * *

Chciałbyś powiedzieć więcej,
słowa zatrzymują się w gardle.

Na stole stygnie herbata,
nie pamiętasz jej twarzy.

Tylko dłonie.
Obraz się rozpada.

Szukasz
w ulicznym szumie.

Ktoś woła.
Nie do ciebie.

Stefan Pastuszewski**Osoba towarzysząca**

i w myśli także
i obok
czasem ją wezmę na koncert
lub na spacer
kątem oka spoglądam czy jest szczęśliwa
nieśmiało pytam
o czym teraz myśli
kiedy mówi że o niczym
to znaczy że jesteśmy

Marcin Liszkiewicz**Łzy**

Plama tłuszczu żyje
Eterycznie i smoliście
Gromadzi się powoli w lej
Zmniejszając przestrzeń światła
Człowiek o trzech cieniach powstaje
Pomimo braku uwagi
On tu rządzi: posiadał sąsiedztwo
Nic nie wskórasz.

Banknoty - tatuaż stów
Zagarnia kosą do siebie
A ja się wzruszam widać
futurystycznego techno

Era tancerzy
Bas się wycisza
Harmonizuje z mgłą
Z sercem
Znowu jestem mały
I gotowy przyjąć miłość.

Krystian Kajewski

Father Mother Sister Brother

Jarmusch udał, że te przedmioty go interesują. *Father Mother Sister Brother*, najnowszy film mistrza, to rozprawa o udawaniu, z ducha gombrowiczowska.

O co ci w końcu chodzi? Jimie Jarmuschu, czym tym razem zaprzątasz mój zniewolony umysł? Wykopałeś już grób dla metafizycznych uczuć, ożywiając *Truposza*. Pokazałeś gdzie są i jaką formę przyjmować mogą *Granice kontroli*.

I pozostać z nią, kiedy otwiera oczy? Ze śmiercią za pan brat? Bo przecież to o śmierci jest bardziej opowieść niż o życiu razem. Pamiętaj o *decorum, memento mori*? Owszem, ale przede wszystkim jak śpiewał Nick Cave: *Just remember that death is not the end*. O tym, że Niebo nie jest wcale puste, a człowiek wcale nie jest sługą natury, która wcale nie jest okrutna. O tym, że ta szemrana opowieść nie ma końca. Tak, najnowsze dzieło Jarmuscha to pogodny traktat ontologiczny. Poznając szczątkowo historie tytułowych: *Ojca, Matki, Siostry, Brata*, zanurzamy się tym samym w ożywczey wodzie z Owczego Źródła. I znowu wiemy nie tylko, że życie jest snem wariata, i że jest gdzie indziej. Bo tak naprawdę znowu wiemy, że nic tak naprawdę o życiu nie wiemy. Ani tym bardziej o śmierci.

Cóż za dziwny paradoks... Życie jest umieraniem, a śmierć jest ożywieniem. Wierzę w tę możliwość podskórną. Kino zaś Jarmuscha niezmiennie, od lat, we mnie tę sferę zwykło poruszać. Jak w najpiękniejszej scenie tego filmu, w której osierocone bliźnięta w opuszczonym po śmierci ich rodziców mieszkaniu, na nowo odnajdują siebie.

Na przykład kantaty Bacha okazały się niesamowicie ważne. Analogicznie jak filmy Jarmuscha, które są o tyle żywotne, że podobnie jak muzyka Bacha, starają się dosięgnąć jakieś prawdy o głębi życia. I zaręczam, że ten kto nudzi się na filmach Jarmuscha, pewnie nudzi się nawet w wannie.

A tu Jarmuscha zablokowało. Pojawiają się takie bezrozumne, nieczułe pogłosy pośród zmanierowanej krytyki. Poeta Adam Wiedemann znowu się nudzi. Nic nie poradzę na nudę Wiedemanna. Widocznie taką ma naturę egzystencja tegoż. Co do mnie, Jarmuscha kocham, a jego najnowsze dzieło tylko mnie w tej miłości utwierdza.

Jak skomponować piosenki do albumu, mając obsesyjne przekonanie, że wszystko na próżno? Jak kręcić kolejne filmy, mając przeczucie końca? Jarmusch jest dla mnie z każdym kolejnym filmem coraz bardziej wiarygodny, a budowane przez niego opowieści są coraz bardziej dojrzałe i wytrawne. Tak jak ta, pozornie prosta, łącząca trzy różne historie złotą nicią, która splata je w arcywzór. Przerazoni myślą, że czas niszczy wszystko.

Relacje rodzinne – jak prawidłowo o nie dbać

Relacje rodzinne, jak rośliny doniczkowe, wymagają pielęgnacji. Bez nich usychają i więdną. Jak właściwie zbudowana jest ta opowieść i gdzie leży jej jądro? Film Jarmuscha, podobnie jak chociażby *Broken Flowers*, składa się z trzech

części: nowel określonych osobnymi tytułami: *Ojciec*, ze świetnym Tomem Waitsem w roli tytułowej, *Matka* (w tej roli ascetycznie doskonała Charlotte Rampling) i *Siostra – Brat*, części najciekawszej, wiążącej wszystkie składowe w sensowny, piękny węzeł gordyjski. W części pierwszej rodzeństwo, czyli *Brat* i *Siostra*, przyjeżdżają odwiedzić starego *Ojca*, który osiedlił się dawno temu na jakimś tajemniczym odludziu, nieopodal New Jersey. Stary *Ojciec* ukrywa przed swoimi bliskimi życie, które prowadzi, jawiąc się rodzeństwu jako ofiara losu, podczas gdy jest dokładnie przeciwnie.

Natomiast druga nowela ukazuje tym razem dwie siostry odbywające coroczny rytuał spotkania ze swoją serdeczną, choć emocjonalnie chłodną matką, która okazuje się być autorką romansideł – bestsellerów.

Wiemy, że w finalnej części te trzy historie zyskują pozór rozwiązania. Nie będę jednak zdradzał Tajemnicy.

Ale są jeszcze dwa punkty niejasne. Pierwszy: czemu są trzy historie, a nie cztery, jak sugerowałyby słowa zawarte w tytule? Drugi: czy pocieszenie, które otrzymujemy, nie jest tylko pocieszeniem, i czy w związku z tym nie mamy do czynienia z iluzją?

Nie ma w tym żadnej niemożliwości, albowiem Jarmusch tworzy kino dla widza wrażliwego i jednocześnie bystrego, co

bynajmniej nie jest jakąś ontologiczną sprzecznością. Wręcz przeciwnie. Od nas zależy, co widzimy w dziełach i dlatego obraz pokazuje mi samego siebie: wewnętrznie sprzecznego wrażliwca, który w niestereotypowy sposób łączy kropki – wątki. To także Jarmusch.

Jądrzem tej czechowowskiej opowieści pozostaje miłość. I rozmaite sposoby, jak do niej dojść, aby potem ją obejść. Jak ją mieć, nie mając jej wcale.

Wystarczy przykryć ekran folią, tak jak grający *Ojca* Waits przykrywa nowoczesne meble starymi kocami, aby ukryć prawdę o sobie. Ale wystarczy szeroko otworzyć oczy i uszy, a przede wszystkim serce, żeby zobaczyć w tych pozornie prostych historiach rozpaczliwą płataninę emocji i znaczeń, cały ten przysłowiowy już magnetyzm serc.

Dodajmy wreszcie, że suma tych wszystkich znaczeń, jak suma ludzkich doświadczeń, jest doskonale wręcz niepoliczalna. Nieskończona.

A gdy to wszystko zaczęło funkcjonować, wówczas w oślepiającym blasku i ogłuszającym hałasie iskier, myślałem sobie: ile z tego filmu dowiedziałem się o sobie, a ile o Tobie, Czytelniku, jak bardzo się od siebie różnimy, i jak bardzo w istocie jesteśmy jednym i tym samym. Tak, Jarmusch to ciągle, właściwie wiecznie młody filozof kina, który niestrudzenie próbuje nam poprzez kino właśnie wytłumaczyć zawiłości i piękno życia. Taki celuloidowo – cyfrowy Marek Aureliusz, ze stoickim spokojem przyjmujący zmianę jako stałość. ♦



„TĘCZOWY ZAKĄTEK”

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROWA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

SATYRA

Henryk Liszkiewicz

Fraszki Z cyklu “Żony”

Żona kanibala

Jakby jej
coraz mniej.

Żona nauczyciela

Trzyma fason.
Zawsze z klasą.

Żona lotnika

Od samego rana
bardzo zalatana.

Żona filozofa

Każdy wam to o niej powie,
że ona Nietzschego sobie.

Żona rolnika

Z tego najbardziej znana,
że wciąż... poszukiwana.

Żona artylerzysty

A skoro już o niej mowa,
to dziewczyna wystrzałowa.

Żona lekkoatlety–chodziarza

A żona jak to żona:
już lekko przechodzona.

Żona hodowcy gołębi

Gdy mąż nie widzi, lubi dziewczucha
czasami kogoś sobie przygruchać.

Robert Drobysz

Aforyzmy – myśli (nie) przebrane

Personel szpitali walczy o swoje życie z pacjentami.
*
Z kobietami mam stosunki zbliżeniowe i bezdotkowe.
*
Współczesna feministka przeraża mnie bardziej niż Putin.
*
Życie nie jest powieścią, żeby ciągle coś się w nim działo.
*
Młodzieży, ty na poziomki wylatuj, a nie nad poziomy wlatuj.

Maria Stańczyk

Jeszcze zdarza mi się znaleźć twoje rzeczy

Jeszcze zdarza mi się znaleźć twoje rzeczy
i udawać, że są całkiem obojętne.
Jeszcze zdarza mi się walczyć z telefonem
- przegrać, wybrać, i usłyszeć, że zajęte.

Kiedy jestem czasem w mieście, przy okazji
jeszcze zdarza mi się pójść do twojej siostry
- pytam, słucham, jak pracujesz, jak ci teraz.
Śmieszna rzecz – a człowiek niby jest dorosły.

Jeszcze zdarza mi się wypić trochę więcej
dobrym winem zamaskować cień spod oka.
Jeszcze zdarza mi się połknąć te nasenne
i powiesić się na pasku od szlafroka.

Jeszcze zdarza mi się złą być, złą być szczerze
trochę płakać, potłuc szklanki i talerze
wyglądać jak zwierzę
i wyc tak jak zwierzę
i leżeć i leżeć i leżeć.

Marek S.Podborski

głu-ptak niebieskonogi

kardynał szkarłatny
biały gołąb
dzięcioł zielony

wrona siwa

Czesław Dawidowicz

Wać Mać

Trwa mać.
Ma trwać!
Kapitulacja, nie.
W niemocy,
obłąkana Maćej
kroczy.
Do północy,
pokrzykuje.

Michał Piechutowski

Najszybciej

wiarę można stracić
przez sakrament
niemiłosiernej pokuty
kapłaństwa bez powołania
lub nieudanego małżeństwa

marzę o jednym jedynym
i naprawdę już ostatnim
spotkaniu z tobą
by się definitywnie upewnić
że na tę chwilę
nie warto było czekać

Statystyka

mam na koncie
więcej zablokowanych
stron niż znajomych
i codziennie
zbliżam się
do nieskończoności

Transformacja

A kiedy już stracę
młodzieńczy puch
i głowę okoli
noblisy wieniec
zrobię sobie
na nim dready
i będę wyglądać
jak Predator

Czesław Dawidowicz

Babcia z matrixa

Czy ta babcia żuje kapcia?
Bo widziałem pogryziony...
Przecież nie ma w domu psa,
jestem lekko zaskoczony.

Czy ta babcia, je baleron?
Czy w jej krwi jest progesteron?
I jak długo będzie zdrowa?
Czy laurkę sobie schowa?

Moja babcia lubi bajki...
Z rzadka w domu pali fajki.
Lubi wódki ciut z kieliszka.
Żadna z niej szara myszka?

Modliszka, chyba bardziej...

Dziadka z domu wyganiała,
dwie łódówki nawstawiała.
I zaprasza koleżanki,
a gdy trzeba walnie z bańki.

Przyznasz chyba czytelniku,
że mam Babcię fest szaloną...
Babcia trochę jak z matrixa,
choć to wcale nie jest fikcja.

Przewodnik po poezji

Bieżąca literatura, czyli ta, która aktualnie powstaje i prosi się o natychmiastowy odbiór funkcjonuje w terytorialnych gniazdach i środowiskach. W zasadzie nie ma ogólnokrajowego forum prezentacji bieżącej literatury, nie mówiąc już o instytucjach krytyczno-literackich, choć ich rolę próbują spełniać niektóre uniwersyteckie wydziały filologiczne. Niektóre, bo większość obrabia twórców i dzieła zakwalifikowane do kanonu przez zwyczaj i redakcje podręczników do nauki języka polskiego. Po części rolę forum sprzyjającego „szerszej obecności” spełnia doroczny konkurs *Nike*, bo już nie miesięcznik „*Twórczość*”, który z uwagi na podporządkowanie ministerialne zapętlili się w labiryncie politycznego chaosu. Zabrakło Redaktora, który spełniał wraz z Zespołem twórców znających się na literaturze rolę niezależnego arbitra. Liczono się z nim a on liczył się z władzami tylko w skrajnych przypadkach, jak na przykład z okresowym zapisem cenzorskim na nazwisko Czesława Miłosza.

Polska literatura bieżąca funkcjonuje więc w gniazdach środowiskowo-terytorialnych, tudzież związanych z niektórymi czasopismami literackimi, których jest już coraz mniej, bo czasopismopodobne publikacje internetowe trudno traktować poważnie, no, może z wyjątkiem portalu *pisarze.pl*. Pozostałe są bardzo koteryjne, choć zasięg mają ogromny, czyli tak jak wirtualna chmura – są *wszędzie i nigdzie*.

Najbardziej namacalne i na swój sposób sprawiedliwe – o ile oczywiście pojęcie *sprawiedliwości* ima się wytworów artystycznych – są więc gniazda terytorialno-środowiskowe. Kryterium doboru jest terytorium oraz uznanie w „kręgu”. To pierwsze jest raczej oczywiste a o drugim decydują opinie związków twórczych oraz tak zwanej publiczności literackiej. Liczy się ranga literackich dokonań oraz ciągła i aktywna obecność w lokalnym życiu literackim. Są nazwiska, które choć się wypaliły, to dla przyzwoitości trzeba je od czasu do czasu wymienić.

PAWEŁ SKUTECKI w zbiorze *Poeci znad Brdy*, opatrzonym podtytułem *Krótki przewodnik*, wziął pod uwagę owe dwa kryteria doboru. Napisał: „Niektóre nazwiska są tak mocno osadzone w historii literatury, że byłoby nietaktem uzasadniać ich obecność w tego rodzaju przewodniku. Inni po prostu znaleźli się tutaj, bo osobiście uważam, że powinni tu być”.

Autor powołał się na „uczciwość”, pisząc, że wziął za swój wybór pełną odpowiedzialność: „Jest to mój osobisty przewodnik po bydgoskiej poezji, skierowany do czytelników, którzy dotąd nie mieli z nią zbyt wiele styczności”.

Każdy z 26 poetów, w tym 17 jeszcze żywych, otrzymał sześć stron formatu B5, z tego dwie na biografię – niestety nie zawsze dokładną – połączoną z autorską (uczciwą) refleksją. Potem jest jedna strona na jeden wiersz i jedna strona na interpretację sporządzoną przez sztuczną inteligencję, co należy uznać za odważny

eksperyment. Dwie ostatnie strony są najważniejsze, gdyż otwierają poezję na odbiór i to nie byle kogo, bo uczniów starszych klas szkół podstawowych i uczniów szkół średnich. Są to konspekty lekcji, skądinał bardzo zindywidualizowane. Mamy więc w polskim piśmiennictwie okołoliterackim i pedagogicznym absolutne *novum*.

Paweł Skutecki twierdzi, że dla dzisiejszych uczniów poezja współczesna to „spiżowe postaci z podręczników”, ale przecież ona jest tuż obok. „Wystarczy wpuścić ją do naszych myśli, naszych rozmów, żeby zaczęły dziać się cuda”. I takie cuda autor wywołał, prowadząc z młodymi ludźmi ze Szkoły Podstawowej nr 62 w Bydgoszczy akcję tworzenia filmów do serwisu YouTube. „Polegało to na tym, że uczniowie samodzielnie wybierali wiersz bydgoskiego poety i czytali go przed kamerami. Ich wybory były dla mnie istotną podpowiedzią przy tworzeniu katalogu autorów obecnych w niniejszej książce”. A więc mamy dodatkowe kryterium środowiskowo-terytorialne – obok wspomnianych już opinii związków twórczych i dojrzałej publiczności literackiej. To spontaniczne wskazania młodych, czyli nie posiadających szerszej wiedzy o bieżącej poezji, czytelników. Inna rzecz że przedstawione im propozycje też w jakiś sposób zostały dobrane, choćby przez dostępność, jako że obieg dzisiejszej poezji jest bardzo ograniczony. Ileż trudu musiał doświadczyć autor *Krótkiego przewodnika*, aby wybrać „ten jeden wiersz”!

Tymi konspektami lekcji można się zachwycić, bowiem każdy jest inny i każdy dostosowany jest do konkretnego autora i wiersza. Niemniej mamy też cechy wspólne każdej lekcji: głośne odczytanie wiersza, zapis bądź rozmowa o pierwszym wrażeniu, analiza i interpretacja (indywidualna lub grupowa), notatka do zeszytu o autorze i o wierszu. Proponowane lekcje są gęste, bardzo gęste, chyba trudne do zrealizowania w jednej godzinie lekcyjnej, ale – dali Bóg – dlaczego nie można jednemu wierszowi poświęcić dwie godziny z przerwą na rozmyślanie i „takie sobie gadanie”? Przecież dobry wiersz chce być o wszystkim, chce zawrzeć w sobie cały świat i być całym światem.

Paweł Skutecki pisze z odrobiną humoru: „Ostrzegam jednak, że ta przygoda może na trwałe zmienić sposób widzenia świata”. Ostrzeżenie przed iluzją, wewnętrznym rozdarcie, pęknięciem głowy? Nie, to tylko zachęta do poszerzania horyzontów rozumienia i odczuwania. Zachęta dla odważnych, którzy nie chcą stać w miejscu. Iu takich się znajdzie? Nauczycieli i uczniów. Dla dobra kultury polskiej, a więc także dla dobra narodu, oby jak najwięcej. Literatura, a poezja przede wszystkim, jest „solą tej ziemi”, bowiem stanowi fundament języka i kultury narodowej. ♦

Paweł Skutecki, Poeci znad Brdy. Krótki przewodnik. 26 poetów, 26 wierszy, 26 interpretacji, Bydgoszcz 2026, Wydawnictwo „Brdla”, ss. 164

Kochanka Natura

JOLANTA BAZIAK jest wyjątkową postacią na polskiej scenie literackiej. Debiutowała w 1974 roku. Obok poezji para się malarstwem, co ma odzwierciedlenie w jej książkach poetyckich, które są bogato ilustrowane obrazami autorki. Filozofka z wykształcenia i zamilowania, w swojej liryce usiłuje uchwycić to, czego językiem filozoficznym opisać się nie da. Brzmi jak przepis na hermetyczną, mętną literaturę zrozumiałą tylko dla ekspertów? Nic bardziej mylnego.

Kochanka Natura to książka, która miała premierę na początku 2026 roku. Jolanta Baziak zaprezentowała w jednym tomie trzy serie wierszy (*Żarliwe, Ludzkie COŚi Kochanka Natura*) oraz kilkanaście reprodukcji obrazów zgłębiających tajemnice przyrody poprzez ekspresyjne próby barwnych definicji świata wokół nas. Myślę, że wielbicieli malarstwa znajdą w tej kolorowej wkładce tak samo dużo przyjemności, ile ja znalazłem w części lirycznej.

Kochanka Natura to zbiór bardzo dobrych, mądrych i zaskakujących wierszy. Mówiąc o twórcy obecnym w świecie literackim od ponad półwiecza, jest to niecodzienna konstatacja, a jednak Jolanta Baziak wciąż potrafi zaskakiwać! Nie chodzi tu bynajmniej o lingwistyczne, formalne sztuczki, a wciąż świeże metafory, które są przecież sednem poezji.

Tym, co mnie od zawsze poruszało w twórczości tej poetki, jest jej dar łączenia rozważań ontologicznych, z niesłychaną zmysłowością. W tym kontekście połączenie liryki z malarstwem wydaje się doskonałym, wręcz – *nomen omen* – naturalnym pomysłem. Człowiek w poezji Jolanty Baziak jest stworzeniem kompletnym, duchowym i cielesnym, a każda z tych sfer wymaga właściwego sobie języka. Tam, gdzie język przestaje być adekwatny, zostaje metafora, a gdy i ta nie jest w stanie wyśłowić intencji, autorka decyduje się na ciszę. Brak. Są całe wiersze, jak choćby doskonały „Między”, oparte właśnie na braku, na pustych miejscach, które być może w intymnej interpretacji czytelnika nabiorą kształtu konkretnych metafor.

To nie jest poezja, która za czymś goni, coś chce udowodnić, do czegoś przekonać. To świadectwo poetki, która wciąż z szeroko otwartymi oczami i duszą przygląda się światu i samej sobie. Warto mieć *Kochankę Naturę* na swojej półce. To książka do czytania przez długi czas, do częstych powrotów i odnajdywania wciąż nowych sensów. ♦

Jolanta Baziak, Kochanka Natura, Bydgoszcz 2026, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 144

GRATKA księgarnia taniej książki

ul. Jezuicka 24 - Bydgoszcz

e-mail: ksiegarnia_gratka@poczta.onet.pl

tel. (52) 322 62 60

☞ półka ze współczesną prozą

☞ wydawnictwa regionalne

Miasto jako pamięć i mit

W najnowszym tomie poezji **ZBIGNIEWA JOACHIMIAKA** czytelnik spotyka się z jednym z najbardziej spójnych i zarazem nieuchwytnych światów współczesnej liryki polskiej. *Miasto, miasta, w mieście* to głównie przeżycia podmiotu lirycznego związane z Gdańskiem, jednak pojawiają się tu i inne, także ważne dla autora, miasta, takie jak: Szczecin, Cincinnati, George Town czy New York. Główna przestrzeń miejska to jednak Gdańsk – szczególnie bliski i mityczny. Joachimiak przez labirynt pamięci, języka i świadomości wchodzi w dialog z historią, z sobą samym, a także tradycją miejskiego pejzażu poetyckiego – od Miłosza i Herberta po poetów amerykańskich i środkowoeuropejskich. Z tradycji amerykańskiej czerpie rytm mowy codziennej i zdolność dostrzegania metafizyki w zwyczajności: w duchu Walta Whitmana afirmuje życie wśród ludzi i rzeczy, od Allena Ginsberga bierze wrażliwość na hałas miasta i duchową ironię, a od Charlesa Bukowskiego – surowy realizm spojrzenia na świat „od podwórka”. Z kolei poeci środkowoeuropejscy, tacy jak Miroslav Holub, Jan Skácel, Tomasz Szalamun, Gyula Illyés czy Sándor Weöres, są mu bliscy w sposobie łączenia codzienności z refleksją filozoficzną i pamięcią o historii. Ta mieszanina wpływów sprawia, że Joachimiak – jak wielu poetów regionu – pisze lokalnie, ale brzmi uniwersalnie, tworząc duchową topografię miasta jako takiego.

Wiersze Joachimiaka nie opisują miasta – one nim są. Autor nieustannie przemieszcza się między topografią realną a duchową. Gdańsk jest tu punktem wyjścia, ale szybko przekształca się w „miasto w mieście”: strukturę nawarstwionych wspomnień, przemian i wspólnot. Zderzają się czas i przestrzeń, historia i teraźniejszość, ulica i metafizyka.

Otwierający tom wiersz „Wstydlive ogrody” jest swoistą deklaracją poetycką – pokazuje świat ukryty „za zaułkiem, za murem, za tym niejasnym końcem miasta”, w którym istnieje życie wstydlive, delikatne, kruche. Obraz, który wyznacza ton całego zbioru: „Za tym niejasnym twoim mglistym końcem

miasta, za tym ostatnim odcinkiem naszych codziennych spacerów...”

Prawdziwe miasto istnieje **poza widzialnym** – w pamięci, w wyobraźni, w tym, co nieuchwytnie. To nie topografia, lecz stan świadomości. To obraz świata obok oficjalnego porządku – takiego, który wymaga od poety czułości i uwagi.

Podobne napięcie między światem widzialnym i niewidzialnym przenika cały tom. W utworze „A pośród ścian i kamieni” autor rozwija metaforę miasta jako orkiestry – nieuporządkowanego chóru głosów, w którym poeta próbuje „usłyszeć, a nie tylko słyszeć”. To manifest poezji jako sztuki słuchania chaosu i nadawania mu sensu.

Jednym z najistotniejszych akcentów książki jest powrót do wspomnień i miejsc utraconych. W wierszach „Ulica Śląska 3/1”, „Wiadro z Pellzerstrasse” czy „Lelusz i jego miasta” – poeta łączy osobistą pamięć z historią Gdańska – miasta, które „pamięta za nas”. Zwyczajne szczegóły – stara spiżarnia, radio, wiadro z wodą, koszula ojca – urastają do rangi relikwii. W pierwszym z przywołanych, w tym akapicie, wierszy powraca obraz z dzieciństwa: „Ojciec śpiewał arie Kiepury, klękając romantycznie przed moją matką: *Nino, ach uśmiechnij się...*”.

To nie tylko scenka rodzinna – to zapis narodzin wrażliwości, pierwszego doświadczenia świata, który po latach stanie się materią poezji. Natomiast cykl poświęcony Leluszowi to jeden z najpiękniejszych fragmentów tomu. Lelusz – realny przyjaciel, może alter ego poety – jest kimś, kto „pojawia się bez oczekiwania” w różnych miejscach, w różnych czasach, przynosi chleb lub płytę i znika o świcie. To figura obecności, która trwa mimo niebytu. Joachimiak pisze o nim z czułością i nostalgią: „Nieobecność Lelusza jest nawet trudniejsza niż jego obecność” – to miniaturowy mit przyjaźni, pożegnania i trwania.

Istotne są w tym zbiorze również wiersze emigracyjne, jak „Chicksaw Street”, „Newport”

czy „Cincinnati 1983”. Joachimiak poszerza przestrzeń swojego świata – Gdańsk odbija się w amerykańskich miasteczkach, Ohio staje się rzeką pamięci, a codzienne doświadczenia zlewają się z nostalgią. To niezwykle przykład, jak poeta potrafi uczynić z geografii emocjonalny pejzaż. W tych wierszach poeta przeżywa, trudne często, doświadczenia emigranta, który szuka wolności, a znajduje nowy rodzaj lęku – lęku przed utratą własnego języka i sensu.

Joachimiak nie unika tematów trudnych – zła, wojny, przemocy. W filozoficznym traktacie – poemacie „Zło” stawia pytania o naturę moralności i cierpienia: czy zło jest immanentne, czy rodzi się z ludzkiego działania? W wierszu „Dwa ognie” przeciwstawia domowe bezpieczeństwo – herbatę, pantofle, ciszę – płonącemu Majdanowi. To jeden z najbardziej przejmujących komentarzy poetyckich do współczesności – ironiczny, ale głęboko humanistyczny. Autor widzi zło nie w odległej przestrzeni, ale tuż obok, w cieniu spokojnego życia.

Tom zamyka wiersz „Trudno odróżnić ulice”. Jest to o refleksja nad współczesnym światem i ludzkim losem. Miasto nie jest tu tylko przestrzenią urbanistyczną, lecz metaforą życia, a zarazem pogranicza życia i śmierci. Miasto to świat współczesny, pełen chaosu, zatarcia, braku granic. To także symbol życia ludzkiego, w którym człowiek gubi orientację. To wreszcie – metafora granicy między życiem a śmiercią („gdzie ludzie mieszkają / a gdzie już umarli prosto stoją”).

Miasto nie jest stabilne – jego granice się rozmywają. Bohater nie wie, które miasto jest jego, a które „sypie się piaskiem w oczy” – czyli przynosi śmierć, pustkę, zapomnienie. Podmiot to człowiek myślący, refleksyjny, zagubiony, próbujący zrozumieć świat, w którym żyje. Nie ma w nim pewności – zamiast twierdzeń pojawiają się ciągle pytania retoryczne („czy zastanawiają się?”, „czy się dowiemy?”, „czy na pewno droga jest?”). Ten styl pytań ujawnia niepokój metafizyczny – podmiot szuka odpowiedzi na pytania o życie, śmierć, tożsamość, sens drogi. „Droga” i „ulica” to motywy przewijające się przez cały wiersz. Są symbolem poszukiwania sensu, życia ludzkiego jako wędrówki i próby odnalezienia celu. Ale te drogi nie prowadzą już dokądś konkretnie – „może w miejskiej kłatwie drogi tylko w okręgach są” – to znaczy, że człowiek krąży w zamkniętym kole, powtarza te same błędy, nigdy nie dociera do celu. To obraz egzystencjalnej pułapki – współczesny człowiek błąka się, nie potrafi już odróżnić drogi życia od drogi ku śmierci.

Styl Joachimiaka jest rozpoznawalny – rozległe frazy, płynne rytmy, minimalna interpunkcja. Wiersze tworzą opowieść, a jednocześnie pozostają muzyczne. Autor łączy ton eseju z lirką, codzienność z metafizyką, ironię z modlitwą. Wielowarstwowy język poezji ma w sobie coś z modlitwy i spowiedzi, ale też z miejskiego monologu zasłyszanego w tramwaju, sklepie, na rogu ulicy. W tej poezji współistnieją historia i metafizyka, konkret i sen, ciepło codzienności i zimno obojętności świata.

Ta książka to arcydzieło miejskiej kontemplacji. Poezja – jak ogród – wstydlive zielenieje w bezwstydnym świecie. ♦

Zbigniew Joachimiak, *Miasto, miasta, w mieście*, Gdańsk 2025, Fundacja „Światło Literatury”



Ośrodek Szkolenia Kierowców AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biurowo czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,

E do B, E do C

Sławomir Pastuszewski

Proza zdystansowana

To nie jest eskapistyczne hobby, rozrywka, rozkładanie. To przeżywanie świata z piórem w ręku, a być może tylko z klawiaturą komputera przed sobą. Życie splecione z literaturą, a raczej splątane, jak głosi tytuł książki *Splątanie i inne opowiadania*.

MACIEJ WILCZEK określa się jako prawnik i dziennikarz, podróżnik tudzież. Píše powieści i opowiadania, łącząc beletrystykę z reportażem, fikcję literacką z dziennikiem intymnym, głównie dotyczącym przemyśleń, emocji i intuicji, ale też dziennikarsko, czy wręcz historiograficznie dokumentacyjnym. Nie wiem jak pisze, ale przeczuwam, że przymusza siebie, jako klasyczny „literata”, do pisania codziennie określonej porcji zdań. Temperament, głównie myślowy, rozbija – raczej często – taką systematyczność i wtedy dochodzi do erupcji. Źródła: bogate, choć spontaniczne życie wewnętrzne, lekturowa erudycja, eksploracja świata od Indii i Chin, po Boliwię i Meksyk, a u nas głównie Wrocław i kulturowo-przyrodniczo bogaty, cały czas dla Polaków egzotyczny, Dolny Śląsk. Klimat hippisowski, choć zdystansowany, obserwacyjny. Ale też depresyjno-ucieczkowy w fantazy.

Najpełniejszą egzemplifikacją tego wszystkiego może być opowiadanie *Przybadek „Tańczącego z kotami”*, w którym Michał spotyka się z Ernestem Hemingwayem, a ten z Garym Cooperem. Dwóch geniuszy, jeden kina, drugi literatury. Tak różni, a tak bliscy sobie (s. 159). Jest jeszcze Rimbaud, Breton i jakiś „Tańczący z kotami”. Wrażenia i cytaty z lektur zmieszane z echami z podróży. Sen, odlot. „A działo się to 17 lutego 2025 roku, w Dniu Kota” (s. 167).

Zbiór opowiadań wydany na początku 2026 roku, a w nim ten tekst, jakby z marszu, bez oddechu, co wcale nie znaczy, że bez korekt i warsztatowego szlif, bo proza Macieja Wilczka jest porządna literacko, nie mówiąc już o staranności edytorskiej (fotografie podróżnicze autora, szkice i obrazy Tadeusza Nodzyńskiego i Mirosława Patkowskiego). Taka szybka, choć zdyscyplinowana, wręcz wzorcowa, jeśli idzie o formę, edycja, uwodzi, jak to zauważył autor przedmowy Jacek Binkowski, swoją gorącą jeszcze energią. To jak jeść świeży chleb dopiero co wyciągnięty z piekarnika. Czy można się tym chlebem zadławić? Można, ale formuła zbioru opowiadań sprawia, że nie trzeba jeść od razu, tylko można kęsami. I trzeba, bo każde z tych opowiadań warte jest smakowania.

Bohater liryczny... Tak, bo ów pęk opowiadań zanurzony jest w aurze poezji. Lirycznej i dramatycznej, pełnej metafor, figur symbolicznych, obrazów. No i dużo jest treści między wersami, z wyjątkiem tych dziennikarsko-kronikarskich notatek i zapisów podróżnika, który chce w swej pamięci utrwalić, a odbiorcy przekazać, informacje o konkretnych faktach: nazwy, nazwiska, daty, odległości, wagi. Bohater liryczny, a konkretnie beletrystyczny, to Michał, który w każdym z 33 opowiadań doświadcza

konkretnych przygód, mówi, myśli oraz od czasu do czasu lewituje w przestrzeni i czasie, spoglądając na świat z lotu ptaka nad przestrzenią (opowiadanie *Stambulskie sny*) i w czasie (opowiadanie *Splątanie*). Ciekawy to zabieg, jak w kongenialnej, wspomnieniowej powieści kresowej Michała Kryspina Pawlikowskiego *Wojna i sezon* (Pan Ireński), czy w powieści podróżniczej Jakuba Ciekiewicza *Ucieczka do Tangeru w Królestwie Maroka* („Akant” 2026, nr 1, s. 32). Obydwa dzieła – jak to się określa – „chodzą” w inteligentnych kręgach, czyli mówi się o nich i nawzajem książki pożyczają, zachęca. Jak za dawnych dobrych czasów, kiedy i w dobrym tonie, i z potrzeby prowadzone były debaty, choćby podczas przypadkowego spotkania na ulicy, o przeczytanych książkach.

Uważam, że do tych dwóch wymienionych powinny dojść opowiadania Macieja Wilczka. Tylko co zrobić, aby znalazły się na ustach wszystkich? Jedna recenzja w „Akancie” nie wystarczy, choć czasopismo to trafia szeroko, bardzo szeroko. Książka godna jest nie tylko szerokości, ale wręcz panoramy odbioru.

W każdym razie bohater liryczny (epicki) opowiadań, będący notabene *porte-parole* autora, jest dla tegoż autora bardzo wygodny. Może w jego myślach ukryć swoje nieprawidłowe czy kosmate myśli, jego słowami wyrazić się nieprzyzwoicie, dokonać czynu co najmniej dwuznacznego. Wreszcie, co jest w tej prozie najważniejsze – uzyskać dystans, ów „lot ptaka” do świata przedstawionego, głównie tkwiącego „w głębi siebie”. Właśnie owo zdystansowanie się jest znakiem szczególnym tej prozy.

Autor *Deszczowych śladów na chmurach* wyjaśnia cokolwiek kokieteryjnie, życzeniowo, na wyrost: „Nie wiem również, kiedy toczy się akcja opowiadań i czy w ogóle czas istniał, kiedy je pisałem, czy zawiruszył się, zaplątał w którymś z wymiarów czasoprzestrzeni. Stąd moi bohaterowie poruszają się po świecie od starożytności do współczesności”.

Pisarz chce osłonić tego opisywanego człowieka, bo przecież człowiek jest osi każdej literatury, przykryć jego delikatność, ale też zagubienie, splątanie myśli i wplątanie się w strumień ruchu bez celu. „Michał coraz częściej pędził przed siebie w poszukiwaniu końca, ale dotychczas go nie znalazł” (s. 149). Daleko idący, artystowski idealizm. Koniec jest w nas, w naszym ciele, bo jeśli chodzi o duszę, to cały czas trwa, teraz w coraz bardziej zracjonalizowanym i zmateralizowanym świecie, nieprzynosząc żadnych efektów, dyskusja o jej istnieniu bądź nie.

Innymi słowy, Maciej Wilczak, wykazując się erudycją i podróżniczymi doznaniem, ale też głęboką refleksją, przekornie, nie wprost – jak to w dobrej literaturze bywa – skutecznie podróż wszędzie, wzwyż i w głąb świata. Ujmując *Całość*. ♦

Maciej Wilczek, *Splątanie i inne opowiadania*, Bydgoszcz 2026, Dom Wydawniczy „Margaśen”, ss. 234

Jarosław Stanisław Jackiewicz

Izaak. Ofiara i kat

Izaak. Ofiara i kat to prozatorski debiut **PAWŁA SKUTECKIEGO**. Jest to powieść historyczna, oparta na faktach, a jej bohaterem jest autentyczna postać, Izaak Cederbaum vel Cedrowski, Polak żydowskiego pochodzenia, z Łodzi, z zawodu lekarz.

Cederbaum „w getcie i w Auschwitz traci całą rodzinę. Gdy wraca, zostaje wciągnięty w tryby powojennej zemsty, wstępuje do UB i trafia do obozu w Potulicach.

Ta oparta na dokumentach powieść, napisana w pierwszej osobie jak dziennik, prowadzi przez granicę, za którą ofiara może stać się oprawcą. To nie jest wygodna historia – to pytanie o cenę odwetu, o to, gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna przemoc, i czy da się ocalić siebie po przejściu przez piekło. A to, że ów Izaak jest jej narratorem, sprawia, że czujemy się, jakbyśmy siedzieli w głowie i w duszy bohatera, śledzili jego myśli, jego emocje. I przez to ta opowieść jest jeszcze prawdziwsza, jeszcze bardziej przejmująca.

Marian Turski powiedział kiedyś, że Holocaust nie spadł z nieba; w tym powiedzeniu odnajdujemy echo słynnego cytatu z Zofii Nałkowskiej: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Tak, ludzie ludziom. Nie diabły, nie kosmici.

Skutecki w swojej powieści pokazuje złodziejstwo się w człowieku. W człowieku, w którym nie ma już miejsca na wiarę w miłosiernego, dobrego Boga, wynagradzającego dobro i karzącego złe. W człowieku, który widział i przeżył już tyle zła, że zostaje ono już w jego duszy na zawsze, korodując ją, niszcząc. W człowieku, którego celem jest li tylko zemsta. Wyrównanie krzywd, jeśli w ogóle można tu mówić o jakimś „rachunku”.

Akcja powieści jest wartka, narracja niesłychanie wciągająca, tak że powieść czyta się jednym tchem i ciężko się od niej oderwać, choć nie nazwałbym oczywiście tej lektury „przyjemną” ze względu na jej mroczną tematykę. W jakimś wierszu napisałem kiedyś, że człowiek tak naprawdę winien bać się siebie, bo świat zewnętrzny to tylko połowa piekła. I Skutecki pokazuje to w całej tragicznej pełni. Jednym z celów literatury jest przyglądanie się złu, zadawanie trudnych, nieraz prowokacyjnych i niewygodnych pytań. ♦

Paweł Skutecki, *Izaak. Ofiara i kat*, Wydawnictwo „Brida”, Bydgoszcz 2025

Zadrzała ziemia.

Jak u Hemingwaya, wybił dzwon. Czas rozecznać się nam, piszącym, i nie tylko, także czytelnikom, w tym co nas stworzyło, ukształtowało. Przejrzyć się w Źródle.

Droży Państwo!

Mamy przyjemność zaprosić państwa do nowego cyklu Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych. Prosimy, aby napisali Państwo o książkach, które są dla Was najważniejsze. Może być ich dziewięć, może trochę mniej lub więcej.

Jesteśmy ciekawi.

KRYSTIAN KAJEWSKI

Bartłomiej Siwiec

Osobiste, przeżyte, doświadczone

Pod koniec 2025 r. nakładem Kujawsko-Pomorskiego Centrum Kultury w Bydgoszczy ukazała się długo wyczekiwana książka *Ogród rzeczy*: to zbiór szkiców, esejów i recenzji **GRZEGORZA KALINOWSKIEGO** – bydgoskiego prozaika, krytyka, wieloletniego redaktora „Kwartalnika Artystycznego”. W świecie literackim pisarz jest znany szerszej publiczności głównie jako autor znakomitych opowiadań, zamieszczonych choćby w zbiorach: *tylko biel* (2010), *ciemne wody* (2018), a także jako juror Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Hoffmana o statuetkę KOS-a. Jego przygoda z „Kwartalnikiem Artystycznym” trwała piętnaście lat (w latach 1997-2012 pełnił funkcję redaktora i sekretarza redakcji) i m.in. dzięki tej aktywności bydgoski krytyk miał możliwość poznać najciekawsze osobistości polskiej literatury z Czesławem Miłoszem, Ryszardem Kapuścińskim, Zygmuntem Kubiakiem, Wisławą Szymborską i Julią Hartwig na czele. Z czasem formalne relacje na linii redaktor pisma – pisarz stały się bardziej osobiste: dochodziło do spotkań, życzliwych rozmów telefonicznych, wymiany korespondencji. To bardzo ciekawie zostaje pokazane, niejako wplecione w szersze ramy opowieści o twórczości naszych mistrzów literatury. Już w pierwszym tekście (*Pomiędzy mrokiem a światłem*) Kalinowski wspomina, jak w październiku 1989 r. na Wawelu spotkał Czesława Miłosza. Taki był początek, ale pierwsze wrażenie nie jest najlepsze, nazwie Miłosza „posagowym”, w przeciwieństwie do bliskich poety: brata Andrzeja i bratowej Grażyny.

Książka zostaje podzielona na trzy części, a w pierwszej dominuje pochodzący z Wilna autor. Szkice o twórczości Miłosza wydają się niezwykle przemysłane, bo Kalinowski doskonale zna tę twórczość i bardzo przenikliwie ją interpretuje. Ba, nawet podejmuje ryzyko i wskazuje jedną książkę, którą uważa ze wszystkich Miłoszowych książek za najważniejszą, to *Ziemia Ulro*. Cóż, wiemy, jakie to trudne, wiemy, że ten wybór to czysty subiektywizm, ale czytając kolejne szkice bydgoskiego krytyka, ufamy mu: jego pasja odkrywania idealnie łączy się ze znawstwem tematu. Poznajemy niezwykle świat wileńskiego twórcy, jego przyjaciół, mistrzów, osoby, którym Miłosz dużo zawdzięczał. Widzimy drogę, jaką przeszedł: z Wilna, przez Warszawę, Paryż, Waszyngton, Berkeley i z powrotem do Polski, do Krakowa i przez... Bydgoszcz, w której występował, będąc chyba u szczytu sławy w czerwcu 1995 r. Kalinowski zręcznie miesza swoje spostrzeżenia, uwagi, intuicje o tej wielkiej literaturze, z własną intymną opowieścią o kimś mu bliskim. I to jest dużym walorem tej książki, że to, co istotne, zostaje pomieszczone z tym, co osobiste, przeżyte, doświadczone. Żeby ją napisać, trzeba było przejść drogę z ludźmi, którzy – niestety – teraz są już po drugiej stronie. I uważny czytelnik dostrzeże tę gorzkość autora – ona jest naturalną konsekwencją przemijania.

Bardzo ciekawe są trzy teksty poświęcone poezji Kazimierza Hoffmana (*Gaśniemy*

w magii, *Religijny wymiar poezji Kazimierza Hoffmana*, *Kazimierz Hoffman – patron ogólnopolskiego konkursu poetyckiego KOS*). I tu zachodzi osobisty związek: panowie znali się dobrze i wielokrotnie ze sobą rozmawiali – formalnie, na łamach wspomnianego „Kwartalnika” czy podczas spotkań towarzyskich, bo to właśnie miasto nad Brdą stało się ich drugim domem. Trudna i wymagająca poezja Grudziądzanina zostaje bardzo rzetelnie przedstawiona: Kalinowski uważa Hoffmana za poetę religijnego, który jednocześnie mocno interesuje się filozofią. Wiąże się to z bogactwem lektur poety. Hoffman podąża tropem współczesnych myślicieli: Martina Heideggera, Edmunda Husserla, Gillesa Deleuze’a, choć Kalinowski odnotuje, że: „Hoffman jednoznacznie kwestionował Nietzscheańskie «Bóg umarł», czy też Heideggerowskie pojęcie nicości”. Być może ze wszystkich znaczących polskich poetów drugiej połowy XX w., którzy jawnie odwoływali się do tradycji judeochrześcijańskiej, właśnie Hoffman zasługuje na miano lidera – to dobrze widać w jego *Dzienniku*, którego redaktorem jest właśnie Grzegorz Kalinowski.

Książka to zatem bardzo osobista: autor subtelnie, a jednak konsekwentnie, daje czytelnikowi do zrozumienia, że poezja i proza, o której pisze, ma dla niego wymiar szczególnie, bo osobisty. W większości nie są to teksty krytyczne przypadkowych dzieł, bo Kalinowskiego i autorów tychże książek łączyła życzliwa zażyłość, żeby wspomnieć choćby liczne spotkania z Julią Hartwig, Wisławą Szymborską, Ryszardem Kapuścińskim, Zygmuntem Kubiakiem. O esejach tego ostatniego *Półmrok ludzkiego świata* Kalinowski napisze krótki, syntetyczny tekst *Pomiędzy buntem i afirmacją*. Krytyk przywoła credo Kubiaka zawarte w jednym z omawianych esejów: „Więc to jedno wiem na pewno. Bóg istnieje. [...] Nie jest możliwe, aby życie było tylko spadaniem ku śmierci, by wszechświat był napelniony tylko bezmiernym gniciem umarłych, tylko śmiercią i milczeniem: wszechświat bez głosu, bez wołania, wszechświat, gigantyczny grób, w którym Duch Boży nigdy nie unosił się nad wodami”. Ta jasna i dziś chyba dość rzadko spotykana wśród pisarzy deklaracja wiary pokazuje nam Kubiaka od podszewki, człowieka, którego przy życiu trzymała wiara, który w ciężkich latach PRL nie dał się złamać złemu systemowi, ponieważ wierzył w wartości. A później w III RP jego *Mitologia Greków i Rzymian* odniosła gigantyczny sukces – dzięki jego mrówczej pracy wielu czytelników na nowo odkryło niezwykle świat starożytnych (tej książce Kalinowski poświęca osobny tekst *Poznaj samego siebie*). Równie ciekawa jest recenzja *Brewiarza Europejczyka*. Kalinowski ponownie trafnie cytuje Kubiaka: „Myśl grecka i rzymska była w dużej mierze pesymistyczna. Również pesymistyczna była w późniejszych wiekach i jest do dziś, znaczna część wielkiej literatury”. Wyłania się z niej ciemny obraz zdechrystianizowanego świata, dla którego

nie ma nadziei albo jest to nadzieja pełna grozy, skoro myśli Kubiaka – jak zauważy Kalinowski – idą w kierunku apokaliptycznym.

Być może to jednak nie literatura jest największą pasją Grzegorza Kalinowskiego, a filozofia, skoro w części III, zatytułowanej *Noty o książkach*, zwraca głównie uwagę na książki znanych filozofów. Urodzony w Inowrocławiu krytyk pisze w sposób niezwykle esencjonalny, a każdy z tych krótkich tekstów stanowi zachętę dla czytelnika, by samodzielnie sięgnął po lekturę. Podobnie jak autorzy omawianych książek (Heidegger, Jaspers, Gadamer), chętniej stawia pytania niż daje gotowe odpowiedzi. Być może właśnie w tej trzeciej części najbardziej wybrzmi jego talent krytyczny.

I jeszcze jedno: krytyk z otchłani przeszłości wywołuje też przedwcześnie zmarłego kolegę, poetę i prozaika Krzysztofa Solińskiego. Wspomina jesień 1999 r., gdy przed jedną z publikacji w „Kwartalniku Artystycznym” panowie zastanawiali się, jaki nadać tytuł przygotowanemu do druku fragmentowi prozy Solińskiego.

Ogród rzeczy to książka bolesna, w ujęciu symbolicznym, niczym Mickiewicza *Dziady*, bo to, co robi Kalinowski, to też jest symboliczne przywoływanie duchów przeszłości. Być może taki jest jej podstawowy cel, bo wydaje się, że autor tę publikację uważa za swoją powinność wobec bliskich mu twórców, z którymi łączyły go nici sympatii, a którzy w przeważającej większości, są już w innym wymiarze. ♦

Grzegorz Kalinowski, *Ogród rzeczy*, Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2025

Zakład Optyczny

AUTORYZOWANA
PRACOWNIA OPTYCZNA
ZAPRASZA

Pn. - pt. 10:00 - 18:00

Sob. 10:00 - 13:00

D.H. HERMES
ul. Wojska Polskiego 23
52 361 96 46GABINET OKULISTYCZNY
Pn., śr., czw., pt. od 16:00ul. Niedźwiedzia 7
52 322 47 47GABINET OKULISTYCZNY
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30

**Laura Alszer ● Maria Balcer ● Jolanta Baziak ● Sławomir Bączkowski ● Marek Bocian
 Michał Borkowski ● Wojciech Czaplewski ● Czesław Dawidowicz ● Stanisław Dłuski
 Robert Drobysz ● Zdzisław Drzewiecki ● Dariusz Filinger ● Jakub Fornagiel ● Igor Frender
 Rafał Gawron ● Krzysztof Gołębiewski ● Natalia Grudzień ● Jerzy Grupiński
 Jarosław Stanisław Jackiewicz ● Aneta Jasłowska ● Jacek Jaszczyk ● Wioletta Jaworska
 Krystian Kajewski ● Dawid Kalinowski ● Przemysław Kantorski ● Ewa Kłobuch
 Paweł Kuszczynski ● Sandra Kocha ● Krzysztof T. Konecki ● Bartosz Konopnicki
 Katarzyna Anna Koziorowska ● Sławomir Krzyska ● Kazimierz Kyrz Jr ● Celina Lesiewicz
 Milica Jeftimijević Lilić ● Henryk Liszkiewicz ● Marcin Liszkiewicz ● Bogdan Łoś
 Dariusz Malach ● Sławomira Sobkowska-Marczyńska ● Adam Michalak
 Angelika Szelągowska – Mironiuk ● Renata Mosionek ● Bronisław Pastuszewski
 Stefan Pastuszewski ● Anna Makselon Paton ● Michał Piechutowski
 Kamil K. Pilichiewicz ● Marek S. Podborski ● Paweł Prusko ● Bartłomiej Siwec
 Paweł Skutecki ● Gregory Spis ● William Stafford ● Maria Stańczyk ● Krzysztof Szymoniak
 Jerzy Utkin ● Paweł Wacek ● Iwona Orzechowska-Wiater
 Rafał Wierzba ● Zdzisław Andrzej Zdebski**

Nowe tytuły

Paweł Skutecki, *Poci znad Brdy. Krótki przewodnik 26 poetów, 26 wierszy, 26 inspiracji*, Bydgoszcz 2026, Wydawnictwo „Brda”, ss. 164.

Krzysztof Osiński, *Strajk rolników w siedzibie WK ZSL w Bydgoszczy, 16 marca – 17 kwietnia 1981*, Bydgoszcz 2026, IPN, ss. 126.

Małgorzata Grajewska, *Zawołaj mnie*, Bydgoszcz 2025, Wydawnictwo „Pejzaż”, ss. 84.

Janusz Koryl, *Lista obecności*, Warszawa 2026, SPP, ss. 48.

Piotr Müldner-Nieckowski, *Gdy przy tobie*, Warszawa 2026, SPP, ss. 114.

Zofia Zarębianka, *Zgasto*, Warszawa 2026, SPP, ss. 146.

Bartłomiej Siwec, *Przed telewizorem*, Bydgoszcz 2026, Wydawnictwo „Brda”, ss. 64.

Józef Banaszak, *Czas kwiatami znaczony. Dzieniki 2023-2025*, Bydgoszcz 2025, Wydawnictwo „Margafrsen”, ss. 264.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury*



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
 Stefan Pastuszewski – wydawca, sekretarz redakcji
 Roman Sidorkiewicz – redaktor
 Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
 Juliusz Rafeld – kierownik działu imprez
 Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
 Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
 Sławomir Krzyska – redaktor
 Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
 85-010 Bydgoszcz, tel./fax 052/321 33 71
 ✉ e-mail: akant24@wp.pl
 www.akant.org

Konto:
 Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
 Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025
 Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
 85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak – przewodniczący,
 Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

Fundatorzy Akantu

Marek Bocian	Magdalena Kalinowska	Magdalena Pełczyńska
Andrzej Bogucki	Wojciech Karpiński	Magdalena Podobińska
Adam Decowski	Paweł Kuszczynski	Danuta Anna Rychlicka
Zygmunt Dekiert	Maria Kołodziej	Roman Rzucidło
Piotr Dmochowski	Krzysztof Konecki	Piotr Szczepański
Leszek Droszcz	Bartosz Konopnicki	Andrzej Sepioł
Jakub Stanisław Domoradzki	Tomasz Kościukiewicz	Anna Skrzypek
Mateusz Dworek	Bogdan Kozłowski	Janina Sokołowska
Hanna Dyks	Piotr Łączyński	Jerzy Stasiewicz
Lucja Anna Fice	Piotr Aleksander Łączyński	Lech Jerzy Stefaniak
Szymon Florczyk	Magdalena Łubkowska	Krzysztof Stępień
Andrzej Gierch	Sławomira Barbara Marczyńska	Jolanta Szejka
Natalia Grudzień	Kacper Mironiuk	Marek Szulakiewicz
Jerzy Cyryl Grupiński	Maria Nowakowska	Elżbieta Vetter
Krzysztof Gołębiewski	Jerzy Nowotczyński	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Eleonora Górka	Sławomir Olesiak	Henryk Tokarz
Michał i Zofia Hawelko	Jan Organ	Paweł Wacek
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Barbara Orlikowska	Iwona Orzechowska-Wiater
Ryszard Jacek Juszczak	Teresa i Bronisław Pastuszewscy	Tomasz Witkowski
		Joanna Zientecka

